BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 32.

Pamiętniki

Anny hr. Potockiej

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

TOM I

Hr. Leon Wodzicki

BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w Gnieźnie

Cena 40 kop

W prenumeracie 30½ k.

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya:
47. Nowy-Świat 47.

1898.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie. . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3
Za odnoszenie do domu	15 kop. kwart.		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	rs. 6	kop.	—
Półrocznie. (za 26 tomów). . .	„ 3	„	—
Kwartalnie (za 13 tomów). . . .	„ 1	„	50

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzą dzieła następujących kategoryj:

1. **Arcydzieła literatury powszechnej,**
2. **Dzieła beletrystyczne** (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. **Dzieła historyczne**, szczególniej pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości,
4. **Dzieła popularno-naukowe** ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCY
Granowski i Sikorski.

REDAKTOR
Franciszek Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Ungra.*
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*
8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske Choińskiego.*
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*

Tom.

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*

24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

32. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

Anna Potocka.

Pamiętniki.

TŁÓMACZYŁA

J. A.

№ 1054

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

TOM I.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

Państwowe Liceum Pedagogiczne w Gliwicach Biblioteka
Pet
Pam
1957
92 (P.07)

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Апрѣля 1893 года.

Politechnika Śląska BIBLIOTEKA Kolegium Pedagogiczne
Kolegium Nauczycielskie BIBLIOTEKA Gliwice
SN 19063
929-052A/2:94(458)"17/18"

Anna z Tyszkiewiczów Potocka.

Książka, którą obecnie podajemy w polskiem tłómaczeniu, ukazała się w Paryżu w początku roku 1897 i miała już cztery wydania. Ogłosił ją p. Kazimierz Stryjeński, który niejeden już rękopis francuski wydobył z archiwów i dał poznać ogółowi.

Własnoręczny manuskrypt jest w posiadaniu pani Br. Pauli z Siedlec. Pozwolenie na opublikowanie go otrzymał wydawca od wnuczki autorki, p. Natalii Potockiej. Poprzedził swe wydanie przedmową obszerną (str. XXXI), z której wybieram tu wiadomości najważniejsze, dające poznać utalentowaną twórczynię tych Pamiętników.

Anna Tyszkiewiczówna była córką Ludwika hr. Tyszkiewicza i Konstancyi Poniatowskiej, bratanki króla Stanisława. Przyszła na świat prawdopodobnie w r. 1776; odebrała wykształcenie francuskie, lecz była przywiązana do swej narodowości i raziły ją takie osoby, które, jak np. księżna marszałkowa Lubomirska (babka pierwszego jej męża, Aleksandra Potockiego), lepiej znały wiek Ludwika XIV, niż wy-

padki wstrząsające krajem, i okazywały się czulszemi na nieszczęścia Burbonów, wygnanych z Francyi przez rewolucyę, aniżeli na klęski własnego społeczeństwa.

Wychowywała się głównie na dworze swej babki, hetmanowej Branickiej, „pani Krakowskiej,“ siostry królewskiej, w Białymstoku. Od wczesnej młodości okazywała zamiłowanie do literatury. *Iliada* była jej ulubioną książką już wówczas; potem czytała Szekspira, Tassa i wszystkich klasyków francuskich, a zwłaszcza Rasyna. Kiedy w dziele Chateaubrianda „Duch chrześciaństwa“ *(Le Génie du Christianisme)* wyczytała ustęp z Roussa, który ją w wysokim stopniu zaintrygował, przeszukuje bibliotekę białostocką, by odnaleźć *Nową Heloizę* i nią się rozkoszować. Głośne wtedy romanse Richardsona, pani de Souza, były oczywiście jej znane, a *Korynnę* pani de Staël „pożerała“ zaraz po jej ukazaniu się w r. 1807; zamiłowanie w niej zachowała do późnej starości, kiedy ją sobie odczytywać kazała.

W r. 1802 zaślubiła Aleksandra hr. Potockiego, a teść jej Stanisław, głośny mówca, tłómacz dzieła Winkelmanna „o Sztuce u starożytnych,“ rozwinął w niej smak estetyczny; piękna zaś galerya wilanowska posłużyła jej za szkołę, z której nauczyła się oceniać arcydzieła malarstwa. Znalazłszy się w Paryżu, zwiedza modne pracownie mistrzów: Davida, Girodeta, Gérarda. W dniu przedstawienia się Napoleonowi (r. 1810) pewnem roztargnieniem zdradziła swą żywą miłość dla piękna. Pomimo zmieszania, miała odwagę wznieść oczy i spojrzeć na „Sybillę“

Gucrcina, znajdującą się nad biurkiem cesarza; ciekawość zwyciężyła w niej lęk. Ten drobny wypadek dał hrabinie możność i sposobność poznania bogactw Louvre'u i jego miłego dyrektora, pana Denon.

Z rozkoszą zajmowała się swemi rezydencyami, zwłaszcza Natolinem i Jabłonną, a później Zatorem (w Galicyi). Na podobieństwo Izabelli Czartoryskiej, interesowała się architekturą i pracowała nad upiększeniem swych zamków i ogrodów. Powiada ona o sobie: „Leniwa we wszystkiem, co nie dotyczyło rzeczy wyobraźni, rysowałabym chętnie dzień cały.“ A gdzieindziej znów: „Gdy nam brakło pieniędzy, sprzedawałam swoje brylanty, aby kupić jaki marmur lub bronz... Szczęśliwe to czasy, kiedy moje noce bezsenne nie miały innego powodu, prócz nadmiaru wyobraźni!... Z jakąż niecierpliwością oczekiwałam dnia, aby rzucić na papier pomysły, co zakiełkowały w umyśle wśród ciszy nocnej!“

Była zapaloną wielbicielką Napoleona, chociaż się wychowała wśród ludzi, co go nie cierpieli. I nigdy uwielbienie to się nie umniejszyło, chociaż przywiązywane do jego zwycięztw nadzieje nie urzeczywistniły się wcale. I Francya też, w której tyle czasu przepędziła, stała się jej drogą. Bardzo znamiennem jest wyznanie, jakie się Annie Potockiej wymknęło z pod pióra. „Naród zarówno miły, jak dowcipny — mówi o Francuzach — rozkoszny kraj! Gdybym miała nanowo rozpocząć tę mozolną robotę, którą życiem nazywamy, to chciałabym się urodzić Francuzką!... Nie wypieram się ja ojczyzny swojej, o nie, niech mię Bóg broni! Im jest nieszczęśliwszą,

tem więcej praw ma do miłości swych dzieci. Ale gdyby się miało dozwolony wybór, zanim się porobiło zobowiązania, to czyż nie wolno byłoby polepszyć losu swego, aby uniknąć tylu zawiedzionych nadziei, tylu nieszczęść niepowetowanych!"

Anna Tyszkiewiczówna wyszła za Aleksandra Potockiego w r. 1802 i miała troje dzieci: Augusta, urodzonego w 1803, Natalię (później księżnę Sanguszkową), zmarłą młodo w 1830, i Maurycego, który się urodził w 1812. Wyszła następnie powtórnie za mąż za Dunina-Wąsowicza, który jako adjutant Napoleona I-go znajdował się w tym nielicznym orszaku, jaki towarzyszył cesarzowi francuskiemu w szybkiej podróży z Wilna do Paryża r. 1812. Pamiętniki Anny, jeszcze Potockiej, kończą się na r. 1820. Dlaczego? Po części objaśnia to końcowy ich ustęp: „Jeżeli odtąd pisać jeszcze będę — powiada autorka— to chyba bez porządku, dlatego jedynie, ażeby zaznaczyć ważne zdarzenia, wyryte w mej pamięci. Wciąż wzrastające nieszczęścia krajowe i moje smutki osobiste odjęły mi nietylko chęć, ale nawet zdolność zajmowania się wspomnieniami. Wstrętnem mi jest oskarżać innych, a starać o usprawiedliwienie siebie. Zresztą *Wyznania* Roussa, które odczytałam w znaczny czas potem, jak zaczęłam pisać, były dla mnie nauczką. Pomimo jego niezaprzeczonego talentu i wytwornego stylu, popadał w gadaninę, w swej nadzwyczajnej próżności mógł mniemać, że należy do ludzi, którym wobec potomności wolno się ukazywać zaniedbanymi, a tymczasem potomność ta rzadko jest pobłażliwą dla tego, kto ją chce zainteresować spra-

wami osobistemi.“ Autorka zmarła w Paryżu 16 sierpnia 1867 r.

Pamiętniki Potockiej, ta książka subtelna i zajmująca — jak powiada p. Stryjeński, wysoko stawiający styl francuski autorki — zadowolni zarówno psychologów, jak czytelników zwykłych, szukających tylko rozrywki, zadowolni nawet historyków, którzy znajdą w niej trochę drobnych faktów, nieznanych zupełnie lub znanych niedokładnie.

W objaśnieniach korzystano tu dość często z not, podanych przez p. Stryjeńskiego, ale dodano do nich wiele innych, które może posłużą do uczynienia czytania *Pamiętników* korzystniejszem. Ktoby chciał mieć szczegółowe wiadomości o wypadkach i ludziach, napomknieniami tylko wskazanych, niech weźmie do ręki pięciotomowe dzieło Juliusza Falkowskiego p. t. „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce“ (1877 — 1887). W ogłoszonych także w „Bibliotece dzieł wyborowych“ *Dziejach Księstwa Warszawskiego* Fr. Skarbka znajdą już czytelnicy wiele.

Piotr Chmielowski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WSPOMNIENIA MŁODOŚCI.

I.

Zamek w Białymstoku.

(1794)

Dlaczego hrabina pisze pamiętniki.—Margrabina Baireuth.—Ostatni król polski. — Białystok. — Pani Krakowska.—18-ty kwietnia 1894 roku. — Piękne panie w obozie Kościuszki. — Wzięcie Pragi (4 listopada 1794 roku).

Było to w roku 1812. Przeczytałam właśnie dziwne Pamiętniki margrabiny Baireuth [1]), te, których ogłoszenie, według wyrażenia Napoleona, równało się drugiej bitwie pod Jeną dla domu Brandeburskiego; odsłaniają bowiem tyle małostek i szkaradzieństw.

Byłam wówczas bardzo młoda. Nabrałam ocho-

[1]) Ukazały się w roku 1812 w Paryżu. Margrabina była siostrą Fryderyka Wielkiego.

ty do spisywania swych wspomnień w miarę, jak podrastać będę. W owym czasie nie fabrykowano jeszcze pamiętników tuzinami. Spisywano tylko swoje własne, mniej lub więcej szczerze. Zdawało mi się, bez wielkiej zarozumiałości, że zdolna byłam zebrać materyały bardziej zajmujące, niż te, na których poczciwa margrabina zbudowała swoją nieśmiertelność, i wzięłam się do pracy.

Niema nikogo, ktoby się troszczył o siostrę wielkiego człowieka; to często mię niepokoiło — bardzo dobrze rozumiałam, że pod kupą grubych anegdot chciano odszukać Fryderyka II.

Jakkolwiek urodzona z krwi królewskiej, mówiąc słowem margrabiny, nigdym *policzka* nie dostała, nigdy nie było włosów w mojej zupie, nigdy nie widziałam się skazaną na przymusowe areszty. Zamiast biednej i brudnej rezydencyi książęcej, zamieszkiwaliśmy jeden z najpiękniejszych zamków [1]) na kontynencie, co nie jest ani tak nowem, ani tak zajmującem, jak to, co margrabina opowiada o swojej siedzibie. Ale, żyjąc w wielkim wieku, budowałam swoje nadzieje na zajęciu, jakie obudzają te czasy pełne chwały.

Spisywanie swoich wspomnień, nie pisząc o sobie, wydaje mi się zgoła niemożebnem; jeśli się pra-

---

[1]) Zamek w Białymstoku.

gnie wzbudzić zaufanie, to czyż nie potrzeba dać się poznać samej?

Matka moja [1]) była siostrzenicą ostatniego naszego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Szlachetna postać tego monarchy, godność jego w obejściu, jego wzrok łagodny i melancholijny, srebrzyste włosy i ładna, zlekka wyperfumowana ręka, wszystko stoi jeszcze żywo w mojej pamięci. Czas, do którego odnoszą się te wspomnienia, jest to doba naszych ostatnich nieszczęść.

Matka moja pośpieszyła za królem do Grodna, dokąd stronnictwo rosyjskie pchnęło go po trzecim podziale. Tam, z pokoiku, w którym umieszczono mnie z moją guwernantką, co rano widziałam orszak królewski. Gwardziści rosyjscy, o twarzach płaskich i bezbarwnych, przerażali w takim stopniu moją dziecinną wyobraźnię, że trzeba było powagi matki mojej, ażeby mię zmusić do przestąpienia progu drzwi, a i wtedy jeszcze nie obeszło się nigdy bez oporu i płaczu.

W innych okolicznościach byłby Poniatowski godnie tron zajmował. Panowanie jego tworzy epokę w rocznikach nauki. Rozbudził on w Polsce zamiłowanie do sztuki i literatury stłumione rządami

---

[1]) Konstancya Poniatowska, 1756 — 1830, żona Ludwika Tyszkiewicza. Była ona córką starszego brata królewskiego, Kazimierza Poniatowskiego.

elektorów saskich, których rozzwierzęcenie wywołało zgubny wpływ na kraj cały...

...Lorsque Auguste burait, la Pologne etait ivre!... [1])

Stanisław przeciwnie, lubował się jedynie w rozrywkach szlachetnych i użytecznych i wszystkie chwile wolne poświęcał w znacznej części uczonym i artystom. Z wykształceniem gruntownem i różnostronnem łączył dowcip, pełen wdzięku, i smak wytworny. Mówiąc z łatwością zarówno językami umarłemi, jak i językami krajów, po których podróżował, posiadał w wysokim stopniu dar zajmowania słuchaczy i umiejętność wypowiadania wobec nich słów takich, które najlepiej mogły pochlebić dumie narodowej lub osobistej próżności każdego. Serce jego było wielkie i szlachetne; przebaczał bez zastrzeżeń, a swoje dobrodziejstwa posuwał często zbyt daleko. - Ale natura, tak hojna względem człowieka prywatnego, odmówiła monarsze tej zalety, co sama jedna utrzymuje panowanie, odmówiła siły i woli.

Kiedy król odjechał, wróciliśmy do Białegostoku, gdzie mieszkała moja ciotka, pani Krakowska [2]). Była ona wdową po Branickim, kasztelanie

---

[1]) Kiedy August pił, Polska była pijana!

[2]) Izabella Poniatowska (1730 — 1808), żona Jana Klemensa Jaxy Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, kasztelana krakowskiego. Zm. 1771.

krakowskim, a siostrą króla Stanisława Augusta. Mąż jej grał ważną rolę podczas konfederacyi Barskiej; w roku 1764 został umieszczony na liście pretendentów do tronu, ale kiedy partya jego szwagra okazała się silniejszą, usunął się do swego majątku, gdzie żył jak król.

Ja widziałam Białystok jeszcze urządzony z rzadką wspaniałością. Tapicerzy francuscy, sprowadzani wielkim kosztem, zwieźli tam meble, zwierciadła, buazerye, godne pałacu Wersalskiego. Trudno było pomyśleć o szerszych rozmiarach salonów i przedsionków, zdobnych w kolumny marmurowe. Co tylko było w Polsce z wielkich panów i najznakomitszych podróżników, gościł ten zamek. Cesarz Paweł, wówczas jeszcze wielki książę, i żona zatrzymali się tam przez kilka dni, kiedy przedsięwzięli tę pamiętną podróż, która zajęła całą Europę. Urządzenie ogrodów i parków, przepych najróżnorodniejszych cieplarni, piękność i mnogość drzew pomarańczowych, wszystko to tworzyło z tego miejsca siedzibę prawdziwie królewską. Za życia pana Krakowskiego dwie trupy aktorskie, francuska i polska, zarówno jak balet, utrzymywany wielkim kosztem, skracały urozmaiconemi widowiskami wieczory zimowe. Teatr, malowany przez włoskiego artystę, mógł pomieścić trzysta do czterechset osób. Budynek ten, zupełnie oddzielony od pałacu, znajdował się u wejścia do

parku z danielami. Widziałam go jeszcze w dość dobrym stanie.

Taki był to rodzaj życia, które prowadzili wówczas wielcy panowie z *opozycyi*. Za moich czasów pozostały z niego tylko wspomnienia, które kazałam sobie opowiadać stuletnim sługom

Wdowa po Branickim, prosta i skromna w swych upodobaniach, chociaż szlachetna i wielka w czynach, wydawała na dobre uczynki równie wielką sumę, jaką mąż jej wyrzucał na zabawy i przyjemności wszelkiego rodzaju. Utrzymując z godnością stanowisko, jakie jej wyznaczyły urodzenie i majątek, odkradała nadmiernemu zbytkowi liczne pomoce, których nigdy nie odmawiała nędzy i nieszczęściu.

Nikt nigdy na tej ziemi nie potrafił lepiej przekonać o możności udoskonalenia, zaprzeczanego tak powszechnie. Pobożna bez bigoteryi, dobra bez słabości, dumna i łagodna, stanowcza, ale czuła, dobroczynna bez ostentacyi, bezinteresownie szlachetna, posiadała ona wielkie zalety, które każą kochać cnotę. Być może, że jej wykształcenie nie wystarczyłoby innej, ale nikt chyba nie pisał z większym wdziękiem, nie wyrażał się z większą dystynkcyą, nie robił honorów domu z większą godnością i nie zajmował się z żywszą dobrocią wszystkimi tymi, co żyją około nas.

Moj dzieci, proszę was, gdy będziecie prze-

jeżdżały przez Białystok, pomyślcie o niej i wspomnijcie o mnie. Tam to upłynęły spokojne dni mojej młodości. Tam zostało postanowione moje małżeństwo i tam po raz pierwszy widziałam umierających!... Matka moja rzadko opuszczała ukochaną ciotunię i ja wychowywałam się pod jej okiem.

Zimy spędzałyśmy w Warszawie, a w lecie wracałyśmy do tej pięknej posiadłości, którą opisałam; ale począwszy od dnia, kiedy króla odwieziono do Petersburga, siostra jego zamieszkała na wsi i nie opuściła już swego zamku. Tak więc zima 1794 r. była ostatnią, jaką spędziłyśmy w mieście.

Doskonale przypominam sobie rewolucyę, która położyła koniec naszemu politycznemu istnieniu. Za zgodą ogólną dowództwo zostało oddane Kościuszce.

18-go kwietnia zostaliśmy przebudzeni odgłosem armat i częstemi strzałami. Ojciec mój był nieobecny, a służba natychmiast chwyciła za broń, nie troszcząc się o to, co się z nami stanie; trzeba było zatem zebrać radę niewieścią, która postanowiła, że najpewniejszą rzeczą jest ukryć się w piwnicach. Spędziliśmy razem cały ranek, nie mając żadnych wiadomości. Około trzeciej po południu strzelanie w naszej okolicy ustało, a król poradził, abyśmy starali się dostać do Zamku, który on zamieszkiwał. Nie znaleźliśmy ani stangretów, ani lokai, a zresztą powóz z trudnością mógłby przesuwać się po ulicach,

zawalonych trupami; byłyśmy zmuszone przejść pieszo całe Krakowskie-Przedmieście, gdzie bito się przez kilka godzin. Widok tego pola bitwy, na którem Rosyanie legli setkami, przejął mię przerażeniem... ale było to jedyne bolesne wrażenie, jakiego doznałam. Zabłąkane kule, świszczące nad naszemi głowami, bynajmniej mię nie przestraszały.

Od dnia tego, aż do wzięcia Pragi (4 listopada 1794) nie opuszczałyśmy Zamku, gdyż miasto było w ustawicznem wrzeniu. Wszystko, co się stało w tym przeciągu czasu, zatarło się zupełnie w mojej pamięci. Niewyraźnie tylko przypominam sobie, że towarzyszyłam matce do obozu Kościuszki, gdzie piękne panie, z czapeczkami na uchu, ciągnęły taczki, napełnione ziemią, aby pomagać przy budowaniu szańców. Zazdrościłam im ich losu, a moje dziecinne serce biło już przy opowiadaniu o naszych zwycięztwach.

Co rano i co wieczór zachęcała mnie bona, żebym się pobożnie modliła do Boga o błogosławieństwo dla wojsk naszych. Z całego serca oddawałam się temu, co mi kazano robić, ale naprawdę nie rozumiałam, co się to dzieje i dlaczego trzeba się było gniewać na tych pięknych oficerów rosyjskich, na których spoglądałam nieraz z przyjemnością, gdy harcowali na ładnych koniach. Wzięcie Pragi oświeciło mnie, a serce moje wcześnie otworzyło się dla uczuć, które przelałam na swoje dzieci.

II.

Emigranci i Ludwik XVIII.

(1798)

Bassompierre'owie w Białymstoku. — Hrabia. — Poeta salonowy. Pani Rigny. — Osiedlenie się. — Wspomnienia chwały. — Przybycie Ludwika XVIII. — Zawód Bassompierre'ów. — Projekt małżeństwa pomiędzy księciem de Berry a Anną Tyszkiewicz. — Wielbicielka Napoleona. — Hrabia Tyszkiewicz. — Jego szlachetne postępowanie.

Rewolucya nasza nastąpiła wkrótce po rewolucyi francuskiej; ale otoczeni przez trzech wielkich nieprzyjaciół, mieliśmy nieszczęście być zwyciężonymi i najszlachetniejsze usiłowania, poświęcenia, godne największego podziwu, skończyły się całkowitym podziałem naszego kraju. Nie tak stało się we Francyi, która pewnym krokiem dąży do sławy. Jest tylko jeden punkt wspólny do porównania: każdy z tych krajów miał swoją emigracyę. We Francyi— szlachta, rojaliści, duchowieństwo; u nas — patryoci, ofiary, wygnańcy. Francya miała swoją Wandeę, a my Legiony! We wszystkiem mniej szczęśliwi,

zmuszani byliśmy przelewać krew swą na drugiej półkuli.

W końcu zeszłego wieku Polska była zalana przez emigrantów francuskich, którzy po większej części pochodzili, wedle swego zapewnienia, z wielkich domów i przyjmowali skwapliwie ofiarowywaną sobie gościnność, jakby robili łaskę. Pani Krakowska miała u siebie całą rodzinę Bassompierre'ów, Najpierw przybył jeden, potem drugi, później trzeci, a w końcu cała linia macierzysta i niemacierzysta.

Napozór niewiele sobie robili z najstarszego w tej rodzinie, a jednak, gdy się zdarzyła sposobność, obficie częstowano go tytułem markiza. Zaiste, poczciwiec nie był zbudowany, jak Moncada [1]). Później zjawił się hrabia, mający około pięćdziesięciu lat, mąż młodej i ładnej kobiety, którą poślubił w tej epoce ogólnych wstrząśnień; w każdym innym razie panna Rigny, jak mówią poufali, nigdyby nie mogła się ubiegać o stanowisko tak świetne! Hrabia, mały, drobny, o włosach w szczotkę, mocno wypudrowanych i z niezbędnym harcapem, jako znak łączności, nie należał do najprzyjemniejszych. Miał duży, kończasty nos, posępne spojrzenie i zaciśnięte usta. Uważano go za dowcipnisia. Przytaczał szczęśliwie

---

[1]) Franciszek Moncada, wódz i statysta hiszpański z początku XVIII wieku.

daty i układał wierszyki dość zgrabne. Ile razy chodziło o jakieś improwizowane widowisko, o jakąś niespodziankę, o zabawę uroczystą, szliśmy do niego z prośbą o kuplety. Zawsze dawał się prosić, a w końcu zawsze nam powierzał „swoje dziecięta“, upominając, ażebyśmy ich nie *okaleczyli*. Następowały wówczas próby, była to ważna rzecz. Trzeba było uwydatniać pewne *szczęśliwe wyrażenia*, prześlizgiwać się po rymie, robić nacisk na półwierszu!... atoli rzadko kiedy autor wydawał się zadowolonym; zanudzał nas śmiertelnie.

Matka hrabiny zachowała resztki piękności i zdawała się być bardzo przebiegłą. Nie było bynajmniej stwierdzonem, czyby przez dawne *poświęcenia* nie była przygotowała *świetnego stanowiska córce*. Siostrzeniec, lat dwudziestu trzech, któremu można było kazać nosić bluzę, i zachwycająca dziewczynka, imieniem Amelia, dopełniali grona rodzinnego. Z początku przyjęli oni zaledwie skromne mieszkanie i przychodzili dzielić z nami posiłek. Później zauważono, że mieszkanie jest zbyt szczupłe i że niedosyć jest jadać... jest tyle innych potrzeb *niezbędnych*. *Zrezygnowano się* tedy przyjąć, rozumie się tajemnie, dość znaczną pensyę. Po kilku miesiącach wyrażono pragnienie posiadania jakiegoś *domku:* to tak miło być u siebie!... Otrzymali natychmiast małą ładną willę, położona o ćwierć mili od zamku.

Nowe mieszkanie wymaga wielu starań! Hrabia, *pochłonięty* sprawami politycznemi, nie mógł, czy nie chciał zająć się tem — hrabina była tak młoda! nie wiedziała, jak się wziąć do tego — a zresztą cudzoziemcy zawsze narażają się na oszukanie! Mamunia podjęła się tedy dać do zrozumienia pani Krakowskiej, że ten wzrost dobrobytu narażał ich na kłopot. Natychmiast rozkazy zostały wydane, a domek doprowadzony do stanu, w jakim mógł przyjąć nowych gości. Niczego tam nie brakowało: pokoje umeblowano z wytworną prostotą, spiżarnię zaopatrzono, gołębnik zaludniono, ogród został wygracowany, uliczki wyżwirowane; pomyślano nawet o wozowni i stajni, boć trzeba było, żeby rodzina miała na czem dostawić się do zamku; wuj był za stary, a Amelia za młoda, ażeby tak wielka odległość nie miała ich zmęczyć.

Tyle dobrodziejstw, zlanych na jedną obcą rodzinę, wywołało zazdrość, a jeśli kiedykolwiek uczucie takie może być wytłomaczonem, było niem w tym razie ze względu na sposób, w jaki te dobrodziejstwa przyjmowano; wciąż się powtarzały porównania przeszłości z teraźniejszością; wciąż niegrzeczne przymówki lub skargi niezbyt delikatne. Jeśli jakiś przybysz wychwalał wobec naszych emigrantów urządzenie tak małej willi, która w istocie była urocza, odpowiadano mu głębokiem westchnie-

niem, wzrokiem pełnym rezygnacyi, słowami urywanemi, które miały oznaczać: „*Byłoby to dobre dla innych, ale nie dla nas...*“ A później mówiono o zamkach, które musiano opuścić, o życiu rozkosznem i wspaniałem, jakie tam prowadzono; ztąd do marszałka Bassompierre i przyjaźni, łączącej króla z tym wielkim człowiekiem, był tylko jeden krok, a kiedy raz znaleźli się na tym gruncie, niepodobna było wytrzymać, westchnienia przechodziły w łkania, a przymówki w obelgi.

Przykrym dla Bassompierre'ów zawodem była wizyta Ludwika XVIII, który zatrzymał się w Białymstoku w przejeździe do Mitawy, gdzie mu cesarz Paweł wyznaczył rezydencyę. Król podróżował pod nazwiskiem hrabiego Lylle. Przygotowano mu pokoje, przeznaczone dla monarchów. Był tam umieszczony ze wszelkiemi względami, należnemi jego urodzeniu i nieszczęściu. Pani Krakowska wyszła aż do przedpokoju, ażeby go powitać. Odczuwał, jak się zdawało, żywo to przyjęcie i wysadzał się na uprzejmość. Nie byłam jeszcze w wieku, żebym go mogła ocenić, ale podobał mi się, gdyż miał minę dobrego i otwartego człowieka. Jego orszak nie był liczny. Zdetronizowani królowie nie mają dworaków. Ludwik XVIII miał coś lepszego niż pochlebców, towarzyszył mu przyjaciel szczery i oddany, hrabia d'Avarav.

Byliśmy bardzo ciekawi, jak też on przyjmie znakomitą rodzinę wygnańców. Niestety! było to jedno z tych rozczarowań, po których bardzo trudno jest przyjść do siebie! *Król nie znał ich zupełnie.* Ani markiza, ani hrabiego, ani młodej hrabiny, ani starej mamy! Traktował nawet dość lekko te podpory tronu, których nigdy nie widział i które nic nie zrobiły, aby wesprzeć chwiejące się królestwo.

Pan d'Avaray, zdziwiony tonami, jakie przybierali nasi Bassompierre'owie, uważał sobie za obowiązek opowiedzieć nam, co o nich wiedział. Byli to rzeczywiście Bassompiere'owie, ale biedni i zwyrodniali, odziedziczyli tylko dumę ze wspomnień, do których należało zaliczyć te zamki, o jakich mówili bezustannie. Rewolucya zbogaciła ich. Nigdy nie posiadali mieszkania tak miłego, jak to, które im ofiarowała wspaniałomyślna gościnność.

Wyjaśnienia te nie zmieniły w niczem postępowania pani Krakowskiej; aż do swojej śmierci nie przestała obsypywać dobrodziejstwami swoich gości. Bądź co bądź, młoda hrabina skorzystała z lekcyi — mówiła mniej o Paryżu, którego *nigdy nie widziała*, powstrzymała się od porównań niezbyt pochlebnych między krajem, który musiała opuścić, a tym, gdzie znalazła tak szlachetne przyjęcie. Odtąd nosiła bieliznę, nie ośmielając się już skarżyć na *zapach polskiego mydła*, a ponieważ król ze zdziwieniem wyraził

się o dobrej kuchni, na którą był bardzo czuły, sądziła, że będzie już jej teraz wolno nie robić grymasów przy jedzeniu zupy.

Czy to wskutek przelotnego projektu, czy też poprostu z chęci podobania się i wywdzięczenia tym sposobem za królewskie przyjęcie, jakiego doznał pan jego, dość, że hrabia d'Avaray przed opuszczeniem Białegostoku zaproponował mojej matce połączenie mnie z księciem de Berry. Nie wiedząc dobrze, co ma odpowiedzieć, matka moja zaoponowała w imię mojej wielkiej młodości, obiecując jednak przedstawić tę propozycyę ojcu memu, który nie chciał o tem słyszeć. Odpowiedział mojej matce, że wędrowny książę robił na nim zawsze wrażenie awanturnika; że niema najmniejszego prawdopodobieństwa, aby Burbonowie kiedykolwiek wrócili do Francyi; że zresztą związek, który wydawał się im, być może, dzisiaj pożądanym z powodu korzyści majątkowych, później mógłby się im pokazać niepolitycznym i nierównym; że nakoniec, mając tylko jedną córkę, wolałby ją wydać za jakiego szlachcica polskiego.

Odmowę tę, ociosaną i osłabioną, zakomunikowano panu d'Avaray, który się raczej nią zadziwił niż obraził. Dopiero znacznie później po tej osobliwej propozycyi dowiedziałam się o niej i myślałam bardzo często w miarę, jak wypadki coraz nadzwyczajniejsze roztaczały się przed memi oczyma, o nie-

zwykłem położeniu, w jakiem byłbym się znalazła. Bonaparte napełnił Europę odgłosem swych tryumfów. Tyle blasku i chwały zdobiło czoło zwycięzcy, takie szczęście uwieńczyło wszystkie jego wyprawy, iż sądziłam, że zjawił się Aleksander lub Cezar. Wychowywałam się pośród ludzi nieprzyjaznych wielkiemu człowiekowi, ale mój zachwyt, podtrzymywany często przez obawę narażenia się, stawał się jeszcze większym. Jakżebym mogła skakać z radości na wieść o zwycięztwach Napoleona, będąc żoną jednego z Burbonów?

Ponieważ zaczęłam mówić o moim ojcu, a piszę głównie dla swoich dzieci, poczuwam się do obowiązku zapoznania ich ze szlachetnym charakterem ich dziada. Od ostatniego rozbioru przyłączył się on do niewielkiej liczby tych, którzy odmówili podpisania akcesu do znienawidzonej konfederacyi Targowickiej. Wskutek tego odważnego oporu cały jego majątek zasekwestrowano; ojciec mój w milczeniu poddał się następstwom, jakie ściągnęły nań stałość i patryotyzm.

W kilka lat później Wielkie Księztwo Litewskie wysłało delegacyę do Petersburga, ażeby wyjednać pozostawienie Statutu Litewskiego w swej sile. Deputacyę, złożoną z najbogatszych i najznakomitszych panów kraju, przyjęła Cesarzowa Katarzyna z okazałością, jakiej nie szczędziła tym, których pragnęła

zaliczyć do rzędu swoich wielbicieli. Dwór jej był bez zaprzeczenia jednym z największych w Europie. Bale i uroczystości następowały jedne po drugich. Deputaci polscy zostali zaproszeni przez łaskawą monarchinię *raz na zawsze* na te wspaniałe przyjęcia, i sądzili, że im nie wolno chybiać takiej inwitacyi. Mój ojciec tylko zjawiał się na dworze wtedy jedynie, gdy go zmuszały obowiązki jego misyi.

Cesarzowa, zdziwiona i dotknięta takim brakiem gorliwości, nie mogła się powstrzymać od wyrażenia swego niezadowolenia, i zwracając się do mego ojca, z wielką żywością oświadczyła, że on jeden tylko nie okazał się wcale ciekawym widzieć tych piękności, które były ozdobą jej zebrań. Nie wydając się zupełnie zmieszanym, ojciec mój skłonił się głęboko, jakby wziął tę wymówkę za dowód życzliwości, i odparł głośno, że wobec położenia, w jakiem znajdował się kraj, niemożebnem jest dla Polaka ukrywanie bolesnych uczuć, których doznawał, i że podług jego zdania, nie należy zachmurzać świetnej uroczystości, wnosząc na nią niezwyciężony smutek. Cesarzowa, oceniwszy natychmiast człowieka, który w ten sposób jej odpowiedział, zawołała, że nic jej tak nie zachwyca, jak niezależność i podniosłość uczuć.

Potem dodała:

— Jako kobieta, współczuję nieszczęściom, któ-

rym surowa polityka nie dozwala mnie, jako wład czyni, zapobiedz.

W chwili, gdy odchodziła, wyjęła z za paska zegarek, ozdobiony szmaragdami, i ofiarowała go memu ojcu, prosząc go o przyjęcie tej pamiątki, jako dowodu szczególnego szacunku, który dla niego miała, niby rozumiejąc i oceniając całe szlachetne postępowanie hrabiego Tyszkiewicza. Po łasce tej nastąpiło zniesienie sekwestru, ciążącego na dobrach mego ojca.

III.

Astrolog.

(1802)

Panna Duchêne, lektorka pani Krakowskiej. — Życie w zamku.— Chateaubriand i Rousseau. — Karol XII. — Wołczyn. — Astrolog szwedzki. — Przepowiada tron Stanisławowi Augustowi. — Dobre stare czasy.

W zamku znajdowała się osoba, zasługująca na uwagę ze względu na swój umysł, wykształcenie i swoją nadzwyczajną pamięć. Była to panna Duchêne, lektorka pani Krakowskiej, paryżanka z urodzenia. Była ona przedtem u pani Tessé i nabrała tam nietylko tonu i manier dobrego towarzystwa, ale nadto nasłuchała się mnóstwa ciekawych anegdot. Należała do tych wybranych istot, które nigdy niczego nie zapominają, zarówno tego, co czytały, jak tego, co widziały lub słyszały. Przezwano ją chodzącą Encyklopedyą. Ponieważ zaprzyjaźniła się z moją guwernantką, widywałam ją ciągle i w znacznej części zawdzięczam jej to, co wiem. Pani Bassompierre jeszcze

więcej niż ja była jej obowiązana. Panna Duchêne całem sercem oddała się rodzinie Bassompierre'ów, których przyzwyczajenia, język, nawet wady przenosiły ją, że tak powiem, do jej ojczyzny.

Wychowana pośród tych Francuzów, mimowoli przejęłam się duchem ich języka i oddawałam się przedewszystkiem ich literaturze.

Niezmiernie lubiłam ich pogawędki, bądź to dowcipne i błahe, bądź też pouczające i poważne, zawsze jednak wesołe, wśród najcięższych nawet rozpraw, jakich nastręczała polityka. Byli to bowiem Francuzi minionej doby, którzy wogóle śmieli się ze wszystkiego i robili z życia sprawę najmniej poważną, jak tylko mogli.

Dnie nam schodziły w sposób bardzo niezależny; każdy żył po swojemu. Jedni pracowali, inni się bawili.

Pobłażliwość pani Krakowskiej szła tak daleko, że nikt, nawet najbliżsi, nie byli obowiązani słuchać Mszy, którą co rano odprawiano w zamku.

Około trzeciej dzwonek wzywał na obiad; był to znak, aby się zbierano. Co wieczór, wyjąwszy latem, od siódmej do dziewiątej bywało czytanie. Można było słuchać, ale pod warunkiem zachowywania milczenia. Lektorka była zajęta tylko krótki przeciąg czasu, poświęcony przez kasztelanowę zaznajamianiu się z dziennikami i nowościami lite-

rackiemi. Jeśli ich brakło, odczytywano na nowo klasyków. Tym sposobem zapoznałam się z Chateaubriand'em, który łączył tradycye klasyczne z duchem nowym.

Właśnie ukazał się *Duch Chrystyanizmu*. Są, niestety, dwie rzeczy, niemożebne do pogodzenia: morał i wyobraźnia. Ostrzegam o tem matki, któreby chciały swoim córkom dać do czytania tę religijną poezyę. Autor umieścił tam ustęp z *Nowej Heloizy*, ten, w którym Julia skarży się na pustkę, jaką odczuwa jej serce, wyczerpawszy wszystkie złudne wzruszenia życia. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie zrobiła na mnie ta harmonijna proza Rousseau'a; wykradałam tę książkę, ażeby odnaleźć ten ustęp; uczynił on mnie smutną i marzycielską. Chateaubriand, jak sądzę, miał najlepsze intencye, chciał, aby nieuchwytna potrzeba kochania zwróciła się ku Bogu; ale, powtarzam, cytata owa jest niebezpieczną dla dziewcząt piętnastoletnich; wywiera ona skutek zupełnie przeciwny zamierzonemu przez autora.

Kiedy się czytanie skończyło, otwierano drzwi dla każdego, kto przyszedł, i rozmawiano. Starsi opowiadali, młodzi pilnie słuchali. Pani Krakowska, najstarsza córka Poniatowskiego, przyjaciela i towarzysza Karola XII, przejęła z ust swego ojca wiele ciekawych anegdot o bohaterze szwedzkim.

Nie było chyba nigdy człowieka obdarzonego

przymiotami, któreby więcej uzdalniały do dokonania wielkich rzeczy. Ponieważ łączył ciało żelazne z duszą ognistą, nic nie mogło ani go dziwić, ani powstrzymać. Nie wierzył w przeszkody fizyczne, a pragnienia i słabości ludzkie uważał za dziecinne przywidzenia i dobrowolną podłość. Pewnego dnia zabrakło żywności; król, który jechał zawsze na czele swojej armii, zeskoczył nagle na ziemię, zerwał garść trawy i zaczął ją żuć. Po chwili milczenia rzekł do swego wiernego towarzysza, który patrzył nań ze zdziwieniem:

— Robiłem próbę zdobycia świata. Gdybym potrafił żywić swoje wojska w ten sposób, to czuję, że jeślibym nie przeszedł Aleksandra i Cezara, tobym im dorównał.

Obawiał się tylko jednej potęgi w świecie, potęgi piękności; jedynie piękna kobieta mogła się pochwalić, że go uczyniła tchórzem... zmuszała go do ucieczki.

— Tylu bohaterów—mawiał on—uległo czarowi pięknej twarzy. Czyż Aleksander, którego najbardziej lubię, nie spalił miasta dla przypodobania się niedorzecznej ladacznicy? Chcę, aby moje życie było wolne od podobnej słabości i ażeby historya nie znalazła w niem takiej plamy.

Pewnego razu powiedziano mu, że jakaś młoda dziewczyna błaga o sprawiedliwość dla swego ośm-

dziesięcioletniego, ślepego ojca, którego skrzywdzili żołnierze.

Pierwszym popędem króla, tak surowego w karności, było iść do skarżącej, ażeby od niej samej dowiedzieć się o szczegółach występku. Ale, zatrzymując się nagle, zapytał:

— Czy ona jest ładna?

A kiedy go zapewniono, że łączyła z wielką młodością uderzającą piękność, kazał, by sobie twarz zakryła, gdyż inaczej nie mógłby jej wysłuchać.

Jakże żałuję, że nie powzięłam już wtedy myśli zapisywania wszystkiego, co słyszałam! Teraz tylko oddzielne wypadki przychodzą mi na pamięć; wtedy była to historya całego życia, wierna opowieść wydarzeń najciekawszych, wypadków najmniej znanych, jakie osoba w podeszłym wieku z rzadką dokładnością przekazywała jeszcze drgające uważnym słuchaczom. Ta, która pozwalała nam, że tak powiem, dotknąć tych ubiegłych czasów, miała te opowieści od naocznego świadka i opowiadała je językiem prostym, ze ścisłością dat, co wypływało ztąd, że nigdy nie pozwoliła sobie zmienić jakiegoś faktu, opuścić lub dodać jakiegoś rysu; tak drogą była jej prawda, taki wpływ miała jej szlachetna prawość na najmniejsze czynności, najprostsze rozrywki jej życia.

W czasach Karola XII byli jeszcze astrologowie

z zawodu. Jedna anegdota z młodości mojej ciotki łączy się z tym rodzajem przesądów.

Siedząc u stóp mej matki, tuliłam się do jej kolan z lekkim dreszczem i biciem serca, trudnem do powściągnięcia. Czy to wypływało z dzieciństwa, czy z łatwowierności, mniejsza o to. Dzisiaj nawet nie rumienię się za to i przyznaję, że doznawałam przyjemności, doświadczając strachu. Oto historya mojej ukochanej ciotki o astrologu; być może, że natrafi ona na wrażliwego czytelnika, dla którego nie będzie obojętną, tembardziej, że, powtarzam, nie ma w niej nic zmyślonego.

Po śmierci Karola XII (1718) Poniatowski, który był do niego serdecznie przywiązany, wrócił do Polski; wkrótce potem zaślubił księżniczkę Konstancyę Czartoryską (1720) i zamieszkał z nią w swojej wsi Wołczynie. Wyniesiony do pierwszej godności w kraju, kasztelana krakowskiego, którą odziedziczył po nim jego zięć, żył tu, czczony przez sąsiadów, a kochany przez rodzinę, wypoczywając po życiu czynnem i szlachetnych pracach, jakim poświęcił swoje najpiękniejsze lata. Był już ojcem czworga dzieci; w chwili, gdy zdarzył się niezwykły wypadek (1732), który opowiadam, oczekiwano piątego. Wzruszenie, w jakie wprawia taka okoliczność, panowało w zamku, zkąd umyślnie usunięto dzieci, bawiące się bez troski rzucaniem w siebie śnieżkami, podczas gdy ojciec ich.

przejęty niepokojem, machinalnie utkwił wzrok w kłębach dymu, wychodzących z jego wschodniej antypki.

Nagle hałas wyrwał go z tego nieokreślonego zamyślenia. To dzieci wbiegły wszystkie razem, prowadząc jakiegoś nieznajomego, który pragnął pomówić z panem domu.

Nadzwyczajna dobroć i wytworna grzeczność były to przymioty, właściwe panu Krakowskiemu, które przelał na wszystkie dzieci, zwłaszcza zaś na króla Stanisława. Na widok nieznajomego niepokój ustąpił żywej ciekawości. Niezwykły strój i wytworne ruchy tego człowieka mogły z łatwością zwrócić uwagę.

Kiedy na rozkaz pana Krakowskiego wprowadzono go do salonu i podano mu zaraz posiłek, po odejściu służących, nieznajomy opowiedział poprostu że będąc Szwedem z urodzenia, a astrologiem z zawodu, podróżował w sprawie nauki. Pragnął się zetknąć ze sławnym rabinem, mieszkającym w Kozienicach, miasteczku położonem niedaleko Wolczyna.

Jakkolwiek, dzięki stosunkom ze Szwedami, znał się na wyobrażeniach kabalistycznych, jednak Poniatowski nie wdawał się w praktyki tego rodzaju. Nie mógł więc powstrzymać lekkiego uśmiechu.

— Ach! widzę, że pan wątpisz o najpiękniejszem, najwznioślejszem z praw, jakie człowiek zdoła

sobie przywłaszczyć, z umiejętności czytania w gwiazdach—zawołał astrolog.—A więc, ażeby zwyciężyć pańskie niedowiarstwo i ażeby pozostawić wam wspomnienie mojej wizyty i wdzięczności, jaką czuję za tak życzliwe przyjęcie, które znalazłem pod pańskim dachem, postawię horoskop dla pańskich dzieci.

Natychmiast zbliżyły się wszystkie jasne i ciemne główki, wyciągnęły się wszystkie rączki, a wróżbita, zasięgnąwszy najdokładniejszych objaśnień co do dnia i godziny ich urodzenia, przepowiedział córkom najświetniejsze stanowiska, a synom sławę wojskową, dostojeństwa, bogactwa.

Nagle milczenie przerwał krzyk nowonarodzonego, którego akuszerka przyszła pokazać ojcu; wszyscy otoczyli go. Astrolog, rzuciwszy szybkie spojrzenie na dziecko, zdawał się popadać znów w ekstazę.

— *Pozdrawiam cię, królu Polski*—zawołał z siłą—*pozdrawiam cię jako króla od dziś dnia, kiedy ty nic nie wiesz jeszcze ani o wyniesieniu, do jakiego jesteś przeznaczony, ani o nieszczęściach, jakie będą jego następstwem.*

Jakkolwiek pan Krakowski był uzbrojony przeciwko wszelkim zabobonom, córka jego zapewniała nas, że często przyznawał się jeszcze na długo przed spełnieniem się tej przepowiedni, iż ostatnie słowa astrologa przejęły go śmiertelnem zimnem.

Król Stanisław nigdy nie mówił o tej wróżbie, ale starsi jego bracia przypominali ją sobie często i opowiadali o niej każdy na swój sposób.

Jakże godną zazdrości jest wyższość charakteru, pozwalająca nam wyznać szczerze, bez obawy śmieszności, że są rzeczy niemożliwe do wytłómaczenia, zwłaszcza, gdy niepodobna im zaprzeczyć.

Niech żyją dobre stare czasy, kiedy wierzono we wszystko!

Najpierw wierzono w Opatrzność, a to upraszcza wiele rzeczy; potem wierzono w raj, co pozwalało znosić wiele zmartwień. Wierzono w cnotę i w możność stawiania oporu złym popędom, ponieważ autorowie bardzo dowcipni, romansopisarze bardzo czarujący, nie byli jeszcze dowiedli, że opór ten jest co najmniej zbyteczny, gdyż namiętność usprawiedliwia wszystkie zboczenia.

Wierzono w cuda, w miłość bezinteresowną, w poświęcenie dla przyjaźni, wierzono nawet we wdzięczność!..

Po objawach wiary poważnej przychodziły wierzenia przyjemne i zbyteczne, takie, które sobie wyrzucano i z których koniecznie trzeba było się spowiadać.

Wierzono w czary, w przeznaczenia, przeczucia, kabały, astrologów, upiory. Takie wierzenia ro-

dziły poetów, wizyonerów, sekciarzy, bohaterów i szaleńców!

Teraz głowy mocno uorganizowane, umysły głębokie i pozytywne, w które wiek nasz obfituje, nie chcą wierzyć w nic, lub wierzą tylko w zwyżkę i w zniżkę!!!...

Bogu wiadomo, czy zwyżka i zniżka spoczywają na lepszych podstawach i czy bardzo często nie zawodzimy się na nich!

IV.

Małżeństwo z hrabią Aleksandrem Potockim.

(1802)

Projekty małżeńskie. — Przybycie hrabiego Potockiego do Białegostoku. — Hrabia Stanisław Potocki. — Hrabia Tyszkiewicz i generał Beningsen. — Wykształcenie hrabiny. — Jej upodobania. — Hrabina Tyszkiewiczowa. — Pani Sobolewska.

Byłam jedynaczką, dziedziczką wielkich fortun, miałam ładne nazwisko, miłą twarz, staranne wychowanie. Byłam, słowem, tem, co zwykło się nazywas dobrą partyą. W czternastym roku życia miałam zaślubić księcia Stanisława Poniatowskiego, brata mojej matki, a zbliżał się on już do pięćdziesiątki, był wysoki, chudy i poważny, nie chciałam nawet słyszeć o nim, oparłam się klejnotom i wianu.

Umysł mój i serce, nie wiem sama dobrze wskutek czego, były napełnione jakąś egzaltacyą, podsycaną czytaniem wielkich poetów, czego nie można mi było zabronić. Pragnęłam bohaterów, jak Racine'owscy, i rycerzy, podobnych do Tankreda—

wymagałam namiętności głębokich, sympatyj nagłych, wielkich i wzniosłych czynów!... Czekałam! Ale, gdy spostrzegłam wreszcie, że nie zjawiają się ani Brytanik, ani Gonzales z Kordowy, kiedy nie było nawet prawdopodobieństwa, żebym spotkała Grandissona, zstąpiłam wreszcie z obłoków i ze smutkiem myślałam, że będę musiała wyjść za mąż, jak wszyscy, kierując się rozsądkiem i konwenansami.

Rodzicom moim proponowano rozmaite partye. Jedne nie podobały im się, gdyż nie były dość świetne; inne mnie się wydawały niemożliwemi, gdyż były niezbyt powabne. W końcu jednak oświadczył się pan Aleksander Potocki, a ponieważ i on był jedną z pierwszych partyj w Polsce, przyjęto go bez wahania; rodzice nasi załatwili wszystko piśmiennie i kiedy Potocki przyjechał do Białegostoku, wiedział z góry, że mu nie odmówią.

Mam jeszcze żywo w pamięci chwilę, kiedy powóz jego wjechał w główny dziedziniec. Był to wieczór kwietniowy; byłam zakatarzona i zabroniono mi wychodzić z pokoju. Trąbka pocztowa zwróciła moją uwagę, pobiegłam do okna i spostrzegłam młodzieńca, wyskakującego z wielkim wdziękiem z karetki podróżnej i wchodzącego szybko na stopnie ganku. Powiedziałam sobie natychmiast, że to może być tylko oczekiwany podróżny. Wzruszenie, jakiego doznawałam, było bardzo zbliżone do strachu... Czegożbym

nie dała, aby do jutra odłożyć to pierwsze widzenie się! Ale nie radzono się mnie i zobaczyłam moją matkę, wchodzącą pod rękę z Potockim.

Wracał on z długiej podróży; było to źródłem rozmowy podczas pierwszej wizyty. Opowiadał nam rzeczy bardzo zajmujące o Londynie, Paryżu... *widział wielkiego Napoleona!*... Ale zauważyłam, że w tej mierze nie był bardzo wymownym; opowiadał bez zapału o tem, co widział, i wcale nie wydawał się olśnionym taką sławą!

Podano herbatę; obserwowaliśmy się wzajemnie; Potocki widział mnie, kiedy byłam bardzo mała, u mojej matki. Przypominam go sobie; zrobił wtedy na mnie wrażenie pogardliwego paniczyka, co nie lubił rozmawiać z dziewczątkami.

Spotkaliśmy się powtórnie w tym szczęśliwym wieku, kiedy czas, dołożywszy ostatniej ręki do swego dzieła, jakby się zatrzymuje, chcąc niby nacieszyć się niem, ażeby później powetować sobie tę chwilę przestanku. Spoglądaliśmy na siebie ukradkiem i doświadczaliśmy mieszaniny zdziwienia i zadowolenia; więcej nas ucieszył los nasz, niż się spodziewaliśmy. Upłynęło trzy tygodnie, przy końcu których zdawało nam się, iż się znamy doskonale i przystajemy do siebie. Tymczasem nie było najmniejszego podobieństwa w naszych charakterach i upodobaniach.

Hrabia Stanisław Potocki, mój przyszły teść,

przyjechał, aby być obecnym na naszym ślubie. Hrabia był jednym z najznakomitszych mężów w tej epoce, tak płodnej w ludzi dowcipnych i dzielnych. Brat jego, Ignacy, i on sam usilnie pracowali nad konstytucyą 3 Maja i obaj stali się ofiarami swego poświęcenia, pokutując w więzieniach, jeden w Rosyi, drugi w Austryi w Spilbergu, za szlachetne uniesienie, które kazało im pracować dla wolności i niezawisłości swego kraju. Bardzo rzadko można spotkać dwóch braci tak bogato uposażonych od natury; z nader miłą powierzchownością łączyli oni wyższy umysł, wykształcenie i pamięć cudowną, a jakkolwiek byli światowcami, umieli wszystko i mieli czas na wszystko.

Hrabia Stanisław posiadał nadto wiadomości artystyczne, jakich nigdy nie znalazłam w tym stopniu u żadnego amatora. Kilka podróży po Włoszech wpłynęło na rozwinięcie w nim tej szlachetnej miłości dla piękna, co jest, że tak powiem, jakby nowym zmysłem. Zawsze uprzejmy i dobry, chętnie słuchał tych, którzy żądali od niego rady. Jego łagodne usposobienie i nadzwyczajna grzeczność stanowiły dziwne przeciwieństwo z żywością i drażliwością, które często pobudzały do śmiechu. Bywały dnie, kiedy za najmniejszą nieprzyjemnością wpadał w gniew jak dziecko i tak samo się uspakajał. Zwłaszcza przy grze wydawało się to śmiesznem, gdy się

widziało, że ten statysta, ten człowiek z wytwornym smakiem, ten wielki pan, który swojemi eleganckiemi manierami odznaczył się na wszystkich dworach europejskich, unosił się tak dalece, że rzucał karty i liczmany na swego partnera. A jednak grał on po groszu i nigdy nie kazał sobie płacić.

— Ależ—wołał w swoim zabawnym gniewie—gdybym grał nawet o plagi, to jeszcze chciałbym wygrać.

Uwydatniam te szczegóły, gdyż przyjemnie mi mówić o moim teściu, którego bardzo kochałam i którym się zawsze chlubiłam. Zawdzięczam mu wszystko, co wiem o architekturze; lubił on rozwijać we mnie tę namiętność do sztuki, która od tej pory stała się ozdobą mego życia i którą matka moja pragnęła mię natchnąć.

Powróćmy do mego ślubu, który odbył się w Wilnie, gdzie mieszkał mój ojciec. Ponieważ cierpiał bardzo na pedogrę i nie wolno mu było opuszczać pokoju, więc ceremonia odbyła się w jego salonie.

W parę dni potem teść mój, znudzony bezczynnością, w jakiej musiał żyć, i pragnący powrócić do zwykłych zajęć, zawiózł nas do Warszawy, gdzie oczekiwała na mnie moja teściowa.

Pożegnałam się z moim ojcem ze strasznem przeczuciem, że go już nie zobaczę. Upór, w jakim się zaciął, aby nie pojechać do wód, przypłacił ży-

ciem, stał się ponurym i smutnym, opuszczał wieś tylko wtedy, gdy jego zdrowie lub interesa zmuszały go pojechać do miasta, gdzie urzędnicy przejmowali go odrazą. Ażeby jej uniknąć, pod pozorem cierpień nie wychodził nigdy, nawet nie oddawał wizyt etykietalnych. Jenerał Beningsen, ówczesny gubernator wileński, obdarzał go swemi względami i często go odwiedzał!

Opuściliśmy Wilno wszyscy razem. Matka moja pragnęła zostać w Białymstoku, gdyż nie chciała mię odrywać od obowiązków, jakie na mnie wkładało moje nowe stanowisko. Doznałam dotkliwego bólu, rozstając się z moją matką. Nigdy jej nie opuszczałam; zajmowała się ona bardzo mojem wykształceniem, lekcye odbywały się w jej pokoju—niektórych ona sama mi udzielała. Leniwa do wszystkiego, co się nie odnosiło do wyobraźni lub do sztuki, chętniebym rysowała całemi dniami. Przeczytawszy *Iliadę* w trzynastym roku życia, nie chciałam już słyszeć o innych książkach. Matka moja niepokoiła się tem, co możeby zachwyciło kogoś mniej rozumem się rządzącego. Była ona poważna i chłodna, umysł jej był trzeźwy i mocny, lubiła naukę i oddawała się z upodobaniem rozmyślaniom.

Nasze charaktery tworzyły uderzające przeciwieństwo.

Mojewłasne doświadczenie przekonało mnie, że

wychowanie może ostatecznie zmodyfikować usposobienie, ale że nie potrafi go zmienić. Matka moja potępiała pustą wesołość, zamiłowanie do świata i stroju.

Taiłam przed nią tysiące drobnostek, a jednak nigdy nie umiałam udać, ani ukryć swoich wrażeń i popełniałam wiele błędów przez zbytek szczerości. Wychowywałam się sama jedna, a za całą przyjemność pozwalano mi rozmawiać ze starymi przyjaciołmi, mimo to wesołość moja była niewyczerpana. Dawano mi dobre tylko przykłady, czytywałam same poważne książki, opowiadano w mojej obecności tylko o rzeczach, które mogłam zrozumieć, a jednak odgadywałam prawie zawsze to, co chciano przedemną ukryć. Być może, że gdyby nie ścisły nadzór, nie byłabym odpowiedziała godnie staraniom, jakich mi nie szczędzono; ale to pewna, że najlepiej rozumiałam, czego mnie uczono najmniej.

Kochałam serdecznie moją matkę: czułam, że zawdzięczam jej wiele; że jej wielka cnota i podniosłość charakteru zasługiwały na całą cześć moją; ale uczucie łączyło się z jakąś obawą, krępującą nasze stosunki. Pragnęła ona mego zaufania i często doznawałam potrzeby zwierzyć się jej w zupełności, ale ilekroć moje zdanie lub chęć moja była przeciwna jej zdaniu lub woli, surowo mnie karciła i sprawiała,

że wyznanie, mające mi się wyrwać z serca, wracało tam napowrót.

Doznawałam potrzeby uczucia jeżeli nie serdeczniejszego, to przynajmniej bardziej poufnego. Wśród młodych osób, z któremi zbliżył mnie wypadek, znajdowała się pani Sobolewska. Czułam się do niej pociągnięta nadzwyczajną słodyczą jej oblicza i zachowaniem się.

Była ona o kilka lat starsza odemnie. Ze swojemi przymiotami łączyła tyle skromności i *pokory*, że niepodobna było być zazdrosną, gdy cieszyła się uznanie wszystkich. Ona jedna wydawała się niemi zdziwiona.

Kiedy jej umysł miły i wykształcony przełamywał zapory ścisłej powściągliwości, w jakiej go zamykała, była zachwycająca i widziałam niewiele kobiet tak miłych, kiedy się *ośmieliła* być miłą. Dusza jej nadawała wszystkim jej czynnościom coś wzniosłego i czystego. Czułam się lepszą, kiedy od niej odchodziłam. Lubiłam ją najpierw instynktownie. Kiedy umiałam już rozważać, pokochałam ją, gdyż uważałam ją za doskonałą, i kochać ją będę całe życie, bo to uczucie stało się potrzebą i przyzwyczajeniem mojego serca. Nie taiłam przed nią ani myśli, ani czynu; nigdy nie widziała mnie lepszą niż jestem wistocie. Na sercu jej składałam moje troski, nadzieje, moje radości i smutki i zawsze znajdowałam w niej

przyjaźń pobłażliwą, dyskrecyę wypróbowaną, zachowanie się niezmiernie łagodne i niezmiernie mile.

Matka moja w końcu z przyjemnością patrzyła na naszą zażyłość; tę jedyną osobę *pozwoliła* mi ona kochać.

V.

Łańcut i Puławy.

(1802)

Sentymentalna przechadzka przy świetle księżyca. — Przebiegłość niewieścia.—Wizyty poślubne. — Księżna marszałkowa. — Arcybiskup de Laon.—Puławy.—Książę Adam Kazimierz Czartoryski.—Jego szlachetność.—Park Puławski.—Świątynia Sybilli.—Dom gotycki.—Wspomnienia o Fryderyku II.—Cesarz Józef II. — Książę Kaunitz.

Przybyliśmy do Warszawy w najpiękniejszej porze roku, a wkrótce potem zamieszkaliśmy w Wilanowie, cudnej wsi, wsławionej wspomnieniami Jana Sobieskiego, który zrobił z niej swoją rezydencyę.

Biorąc w posiadanie piękny apartament, który przygotowała dla mnie moja matka, sądziłam, że jestem u szczytu szczęścia. Matka moja z zasady przyzwyczajała mnie do oszczędności; naraz widziałam się bogatą i niezależną.

Lubo nie miałam dla swego męża uczucia namiętnego, zaczęłam go przecie szczerze kochać. Od-

nalazłam tu moją przyjaciółkę, panią Sobolewską; moi przybrani rodzice byli uprzejmi i dobrzy — nic nie brakowało mi do szczęścia... chyba trochę więcej rozumu. Oto dowód. Światło księżyca potrafiło na jakiś czas zmącić czyste szczęście, którem się cieszyłam. Powiedziałam już, że miałam umysł romantyczny i że stan spokojny i prosty nie mógł mnie na długo zadowolić.

Ubrdałam sobie, żeby mój mąż zakochał się we mnie na zabój.

Pewnego wieczoru, gdyśmy się przechadzali nad brzegiem Wisły, pod stuletniemi drzewami, co osłaniały swym cieniem mniej niewinne miłostki pięknej Maryi Arquien [1]), sprowadziłam rozmowę na miłość. Utrzymywałam, że niema prawdziwego szczęścia na ziemi, prócz we wzajemnem przywiązaniu, którego żywość dorównywałaby trwałości!...

Mąż mój, słuchając mnie z pobłażliwością czas jakiś, spojrzał na zegarek, zwrócił moją uwagę, że już jest późno, że komary są nieznośne i że trzeba wracać do domu.

Mówiłam tonem tak różnym od tego, którym on zrobił swoje spostrzeżenie, że wróciwszy do siebie, zalałam się łzami i uważałam się za najnieszczę-

---

[1]) Żona Jana Sobieskiego.

śliwszą kobietę na świecie. Będąc oceniona tak mało, lub w sposób pospolity, nie mogłam zrozumieć, ażeby kochano mnie tak samo w moim pokoju, jak na powietrzu przy świetle księżyca.

Od tej chwili marzyłam tylko o środkach wzbudzenia namiętności, do której przywiązywałam całą swą przyszłość i całe swe szczęście. Po dojrzałym namyśle, sądziłam, że, aby unieszczęśliwić męża, trzeba go najprzód uczynić zazdrosnym, a nie chcąc dopuścić kogoś trzeciego do tego poufnego poemaciku, postanowiłam napisać do siebie samej list miłosny. Aby uczynić moją epistołę naturalniejszą i prawdopodobniejszą, dodałam do tego oświadczenia miłości zarówno nieśmiałej, jak gorącej, dość złośliwe uwagi o otaczających mnie osobach. Tak dobrze zmieniłam pismo, że mój mąż (znalazł ten bilecik pod drzewem pomarańczowem) dał się oszukać i zaniósł go do swojej matki, aby się nim razem z nią zabawić. Zachwycona, że mi się udało zaintrygować moje otoczenie, tryumfowałam, nie spodziewając się, jaki obrót wezmą rzeczy. Jakkolwiek żarty, które list mój zawierał, były bardzo niewinne, dotknęły jednak moją teściowę; odczytywała bilet, sprawdzała pismo i w końcu odkryła, że ja byłam autorką tej małej mistyfikacyi.

Postanowiono *doświadczyć* mnie i przekonać się, do *jakiego stopnia* posunę kłamstwo, które wydawało

się tem występniejszem, że nie znano jego celu. Mój teść został do mnie z tem przysłany.

Niespokojna i już żałująca tego, co zrobiłam, spostrzegłszy go wchodzącego do mego gabinetu, z miną człowieka, co ma mię *badać*, zupełnie straciłam głowę, a obawiając się przyznać do tego głupstwa, zaparłam się go najniezręczniej w świecie.

Mój teść zachował się z nadzwyczajną delikatnością; widząc, że się uparłam, odszedł, zostawiając miejsce memu mężowi, który rozpoczął badanie. Umierałam ze wstydu i broniłam się z rozpaczą. W końcu wydostał ze mnie tę fatalną tajemnicę. Wylałam potoki łez i padłam na kolana; przebaczył mi, gdyż zrozumiał powód takiego postępowania i widział w moim żarcie tylko dziecińswo. Nie tak było z moją teściową, która powzięła bardzo niekorzystne przekonanie o moim charakterze i uparła się uważać ten list głupi i śmieszny za upodobanie do intryg. Poraz to pierwszy w życiu popełniłam coś podobnego. O mało co nie rozchorowałam się ze zmartwienia, a ponieważ sądzono, że jestem w odmiennym stanie, robiono wszystko, aby mię uspokoić.

Rozumiałam jednak, że starania, jakiemi mnie otoczono, były wyjątkowe i że nic mi nie zwróci zaufania i miłości mojej świekry, która, chociaż obdarzona wielkiemi przymiotami, nie miała dość podniosłego

umysłu, aby rozróżnić wszystkie odcienia uczuć, kłębiących się w mojej duszy.

Wkrótce nadzieja zostania matką była szczęśliwem oderwaniem od przymusu, jakiego doświadczałam, a ponieważ pożądano przedewszystkiem spadkobiercy, stałam się przedmiotem starań podobnych do najżywszej czułości.

Cierpiałam bardzo do połowy mojej słabości, co zmusiło mego męża do opóźnienia rewizyt, jakie powinniśmy byli oddać — musiałam być przedstawioną wszystkim moim starszym krewnym.

Kiedy już mogłam znosić ruch powozu, udaliśmy się do zamku Łańcuckiego, gdzie urządziła swoją rezydencyę babka mego męża, księżna Lubomirska. Nazywano ją księżną marszałkową. Trudnoby spotkać osobę łączącą z tylu podniosłemi zaletami tak nadzwyczajne dziwactwa. Nie kochała ona ani swych dzieci, ani kraju, a z nudów ciągle zmieniała miejsce. Obca wszystkiemu, oprócz starych tradycyj dworu francuskiego, znała daleko lepiej wiek Ludwika XIV, aniżeli wypadki, które wzburzyły jej ojczyznę. Będąc widzem okropności, jakie splamiły rewolucyę 1789 roku, oraz serdeczną przyjaciółką księżnej de Lamballe, potępiała wszelką myśl nową.

Napoleon był dla księżnej nędznikiem, którego sprzyjające zdarzenia wyniosły do godności, na której nie będzie *mógł się utrzymać*. Unikała rozmowy

o nim, a gdy musiała wymówić wstrętne to imię, nazywała cesarza *małym Buonapartym*. Wierna Burbonom, nosiła żałobę po księciu d'Enghien i obsypywała dobrodziejstwami wszystkich emigrantów, jakich tylko na drodze napotkała.

Gdyśmy przybyli do Łańcuta, spotkaliśmy tam biskupa Laońskiego [1]), mieszkającego w zamku. Oddawano mu wszystkie honory, należne infule.

Kiedy księżna podróżowała do Wiednia, co się zdarzało każdej zimy, odkąd podeszły wiek, łącznie ze zmianą *dynastyi*, nie pozwalał jej już na pobyt w Paryżu, nic nie zmieniało się w Łańcucie. Co rano rządca przychodził po rozkazy do monsignora. Był on tam jakby w swoim własnym zamku i doprawdy, lepiej mu tu było, niż we własnym jego kraju; nigdzie nie miałby tak wspaniałego, a zarazem tak wytwornego mieszkania. Marszałkowa, bogata jakby jaka księżna z *Tysiąca i jednej mocy*, lubiła otaczać się zbytkiem angielskim i smakiem francuskim.

Miała ona przytem tę zasługę, że używała godnie olbrzymiego majątku, który przypadek oddał jej w ręce. Jej wspaniałomyślność zasługiwała z tego względu na uwagę, że była zupełnie uzasadnioną i rozciągała się głównie na jej licznych poddanych. Nie było wioski, w którejby nie zbudowała szkoły,

---

[1]) Był to Ludwik de Sabran

szpitala, nie sprowadziła lekarza lub akuszerki. Jej administratorowie mieli obowiązek czuwania nad temi zakładami dobroczynnemi, gdyż chociaż chciała, aby wszystko w niej było wyszukane i wytworne, nie zapominała o biednych.

Atoli rzecz dziwna i niewytłómaczona, że ta sama osoba, której imię błogosławił ubogi i na którą nikt z otaczających ją osób nie mógł się skarżyć, była surowa i niesprawiedliwa względem swoich dzieci, co ją przecie ubóstwiały.

Od pierwszych chwil zauważyłam, że mego męża traktowała tylko jak *wnuka* i że ta antypatya przechodziła na mnie. Nie zniechęcałam się jednak i wkładając w pracę całą wesołość i talenciki [1]), otrzymałam przebaczenie za to, że jestem żoną Aleksandra.

Po dwutygodniowym pobycie w Łańcucie udaliśmy się do Puław, wspaniałej rezydencyi należącej do księcia Adama Czartoryskiego, brata księżnej marszałkowej, a zatem naszego ciotecznego stryja. Nazywano go zawsze księciem generałem; było to u nas w zwyczaju nazywać się od swego tytułu, jak we Francyi nazywano się od głównego rodowego majątku.

Zamek ten stanowił zupełne przeciwieństwo z tym, jaki dopiero co opuściliśmy. Nie było tam elegancyi;

---

[1]) Zręcznie dłubałam czepeczki à la Ludwik XV i w ten sposób mogłam oddać parę usług księżnej, zachowującej modę swojej młodości. (Przypisek autorki).

życzono sobie tylko ożywić albo raczej zachować dawne tradycye i nic nie zmieniać w obyczajach przodków. Ta sama serdeczność, ta sama prostota w stosunkach. Od pierwszej chwili czuło się jakby u siebie. Pod lekkiemi pozorami ukrywał książę głęboką wiedzę. Doskonały oryentalista, posiadał nadto wiele języków i *znał gruntownie* wszystkie literatury. Wybaczano mu jego uczoność ze względu na dowcip i szczerą wesołość. Umysł jego był przenikliwy, błyszczący, bystry; z moich znajomych tylko jeden książę de Ligne mógł mu wyrównać pod tym względem, lecz książę generał miał prócz tego wielce szlachetną duszę i nader wzniosłe uczucia. Gdyby się zbyt młodo nie oddał był powabowi świata i płochościom życia, niewielu ludzi mogłoby się z nim równać, a jego wpływ polityczny nie byłby pozostał bez ważnego rezultatu.

Kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, jego podeszły wiek nie ujmował wdzięku i żywości jego umysłowi. Był to staruszek suchy i upudrowany, bardzo czysty i ładnie ubrany. Nie wiem dokładnie, przy jakiej sposobności mianował go Józef II feld-marszałkiem austryackim, gdyż nigdy nie był na wojnie. To jednak pewna, że pod tym cudzoziemskim mundurem i nieprzyjacielskiemi barwami biło szlachetne serce, pełne patryotyzmu i poświęcenia. Jego ogromna dobroć ujawniała się w każdej okoliczności i dlatego

był uwielbiany w kraju. Kształcił swoim kosztem dużo ubogiej szlachty, sam zajmował się ich zdolnościami, sprawdzał ich postępy, wysyłał za granicę i t. p. Wiele osób znakomitych rozwijało swe talenta w tak zwanej *szkole Puławskiej*, szkole, której hojność księcia pozwoliła się bardzo rozszerzyć, gdyż miała ona swe rozgałęzienia we Francyi i w Anglii. Zmniejszył on tym sposobem znaczny majątek i pozostawił długi, które spłacili późnej jego synowie.

Piękna to była arystokracya i śmiem twierdzić, że tylko w Polsce spotykana. Kiedy książę generał zapewnił los jakiej uczciwej rodzinie, szedł potajemnie podziękować jej za okazaną sobie ufność. Jego oszczędności dotyczyły tylko jego stołu. Sam bardzo niewymagający i skazany przez swego lekarza na spożywanie skromnego posiłku w samotności, pierwszy śmiał się z naszych złych obiadów. Ale przy stole było pięćdziesiąt osób co najmniej, a sto żywiło się resztkami. Gdy, skończywszy swój pustelniczy obiad, zaczął kręcić się wśród nas, wszyscy wpadali w zachwyt, gdyż swoim humorem jowialnym rozweselał wszystkich biesiadników. Jeśli przypadkiem spotkał swego marszałka, klepał go po ramieniu i pytał, czy zawsze jest wierny *temu samemu systemowi*.

— Gdyż—mówił—ten hultaj dał sobie słowo podawać zawsze wino jeszcze młode, a wołowinę już starą!...

Wszyscy się śmieli, a nikt nie myślał się skarżyć, wyjąwszy jednak kilku starych smakoszów, których egoizm oburzał się na taką obojętność względem tego, co oni nazywali pierwszemi potrzebami życia.

Księżna Izabela Czartoryska nie była osobą bez zasług.

. . . . . .

W czasach, o których mówię, zajmowała się bardzo ubogimi. Od świtu drzwi jej były oblężone przez wszystkich biednych i chorych z sąsiednich wsi. Opatrzywszy potrzeby każdego, szła do swego wspaniałego ogrodu i większą część rana spędzała na doglądaniu robót.

Gmachy, wzniesione w parku puławskim, są bardzo ciekawe. Najważniejszy z nich jest poświęcony pamiątkom historycznym i narodowym; jest to naśladowanie świątyni Sybilli, jaką podziwiają w Tivoli. Zręczny architekt, któremu powierzono nadzór nad tą budowlą, pojechał do Włoch, żeby ją wiernie odtworzyć, i wywiązał się doskonale ze swego zadania. Są tu te same proporcye, to samo wykończenie szczegółów, ta sama gruntowność w budowie, a ponieważ niebo włoskie jest jedyną rzeczą, której nie można było skopiować, szklana kopula z jednej sztuki idealizuje naszą mglistą atmosferę.

Zebrano tam insygnia naszych królów, klejnoty królowych, broń naszych wielkich ludzi, jak

również lupy, zdobyte na nieprzyjaciołach. Nic piękniejszego, nic szlachetniejszego nad ten zbiór pamiątek narodowych, w którym każda rodzina, uświetniona jakimś sławnym czynem, ukazuje swoje tytuły do nieśmiertelności.

Fronton świątyni nosi napis, który zdaje się wyrażać odrazu naszą świetność, nasze wady i nasze nadzieje: *Przeszłość przyszłości.* Oby ten święty legat był uszanowany przez czas!

Drugi gmach, który nazywają *Domem gotyckim*, jest w zupełnie innym rodzaju szczęśliwem połączeniem stylu flamandzkiego i maurytańskiego. Możnaby powiedzieć, że tę budowlę, zaczynaną wciąż na nowo w różnych epokach, a skończoną ze smakiem nieporównanym, księżna lubiła wzbogacać pamiątkami wszystkich krajów i napełniać osobliwościami ze wszystkich czasów.

Obok warkocza Agnieszki Sorel, zachowanego we wspaniałej skrzynce z kopalnego kryształu, wysadzanej drogiemi kamieniami, znajduje się bezkształtna czara, służąca przy namaszczaniu cesarzów rosyjskich, a zabrana z Moskwy. Pod pięknym portretem Rafaela, malowanym przez niego samego, portret Szekspira, którego spruchniałe drzewo pokryte było bronzami i aksamitem. Tuż obok stół należący do Voltaire'a, którego złoty klucz, bogato rzeźbiony, otwiera szufladę, gdzie stoją nagromadzone niezliczo-

ne skarby. Następnie zbiór listów znakomitych ludzi, którzy uświetnili wiek Ludwika XIV; między innemi piękny list Turenne'a, napisany całkowicie jego ręką na krótko przed śmiercią. Książeczka w starożytnej oprawie, zawierająca rysunki fortyfikacyj, nakreślonych przez marszałka Vauban, który poświęcił ten zbiór księciu Burgundzkiemu. Listy własnoręczne wszystkich królów francuskich, począwszy od Franciszka I aż do Napoleona. Książka do nabożeństwa pani de la Vallière, jak również mnóstwo osobliwości tego rodzaju, któreby się chciało oglądać nieraz.

Ściany budynku są pokryte napisami starożytnemi, odnoszącemi się głównie do historyi Polski. Księżna zajmowała się rozumowanym katalogiem swych bogactw. Jest to olbrzymia praca, dowodząca, do jakiego stopnia księżna studyowała historyę rozmaitych krajów, których pamiątki ceniła. Rewolucya francuska zbogaciła *Dom gotycki*. Był to czas, gdy dawne zabytki sprzedawano na licytacyi; hrabina Zamojska (Zofia), córka księżnej, będąc w Paryżu w tej epoce rozpasania, ponabywała tam rzeczy, które są teraz nieocenione.

Nie mogę wypowiedzieć, ile zajęcia i przyjemności doświadczano, słuchając tej, co spędziwszy życie na zbieraniu tylu przedmiotów rzadkich i drogocennych, pokazywała je sama, łącząc z każdym jakąś ciekawą wiadomość.

Wieczorem, kiedy wróciwszy ze wspaniałego parku i ogrodów, zbierano się u pani domu, lubiłam wywoływać jej liczne wspomnienia. Dużo podróżowała, a chociaż już bardzo wiekowa, przedstawiała osoby historyczne, o których opowiadała, jakby je wczoraj opuściła.

Wprowadzona na dwór Fryderyka II, potrafiła wślizgnąć się pewnego razu do jego gabinetu, w chwili, gdy on go właśnie opuścił.

— Było to — mówiła — schwyceniem człowieka na uczynku.

Przed biurkiem, pokrytem papierami i mapami, stał talerzyk z wiśniami i napisem własnoręcznym króla: *Zostawiam ich ośmnaście.* Tuż obok stary uniform huzarski, rozłożony na kanapce, oczekiwał, ażeby go naprawiono małym kosztem. Przy liście Voltaire'a, jeszcze otwartym, rachunek kupca korzennego, nadwornego dostawcy. Zeszyt z nutami, rzucony niedbale na pulpicie, a niedaleko od tegoż krzesło kurulne, podobne do tego, jakie się znajduje na Kapitolu, z tą różnicą, że tamto jest ze starożytnego drzewa różanego, a to było ze zwyczajnego i nic w niem nie ukrywało jego brzydkiego przeznaczenia. Był to dziwny gabinet królewski. Napoleon daleko lepiej korzystał ze swego prawa zwycięzcy, niż Fryderyk ze swego prawa urodzenia.

Podróżni musieli mieć wiele taktu i wskazówek,

aby wybrnąć z kłopotu między dwoma dworami w Berlinie. Król miał swój, złożony całkowicie z wojskowych i z uczonych. Królowa, z którą się nigdy nie widywał, zbierała modne damy i śmietankę arystokracyi. Było się źle widzianym na jednym, jeśli się bywało na drugim. Znaczyło to prawie tyle, co wykluczenie.

Król, mówiąc zwykle o żonie, co się rzadko zdarzało, nie nazywał jej nigdy inaczej, jak „stara głupia;“ naodwrót ona nazywała go „starym hultajem“ lub „starym sknerą.“

Fryderyk miał umysł błyszczący, ale był cierpki i niezbyt przyjemny.

Księżna Czartoryska daleko bardziej lubiła rozmowę o cesarzu Józefie II, którego miała sposobność poznać bliżej. Nieszczęśliwa Marya Antonina, przypuściwszy ją do poufałości, dała jej list do swego brata, zalecając jej oddać go w tajemnicy, gdyż każdy jej krok bacznie śledzono. Księżna dopełniła z pośpiechem tego trudnego zadania. Cesarz Józef II, rozwiódłszy się pewnego razu nad prawdopodobnemi i możliwemi widokami powodzenia przygotowującej się rewolucyi, zawołał, jakby natchniony duchem proroczym:

— Tak będzie trwało, aż człowiek, obdarzony potężnym geniuszem, zagarnie władzę i przywróci porządek rzeczy. Co się tyczy mojej siostry, jest już,

jak sądzę, na nieszczęście, za późno — dodał — i bardzo się obawiam, aby nie stała się ofiarą własnych nieostrożności i słabości swego męża.

Józef II był jednym z najdowcipniejszych ludzi swojej epoki. Lubił towarzystwo i chętnie rozmawiał. Jego poufałe kółko składało się z wielu miłych kobiet, wśród których księżna Czartoryska zajęła miejsce wydatne.

Nazwaliśmy się dziedzicami jej wspomnień.

Pewnego dnia, przy końcu obiadu, opowiadała nam, że znała księcia Kaunitza, który między innemi posiadał opinię bardzo niegrzecznego. Mając ładne zęby, czyścił je, bez najmniejszego względu na swych współbiesiadników. Kiedy sprzątnięto ze stołu, jego kamerdyner podawał mu lustro, miednicę i szczotki, a książę rozpoczynał swoją poranną toaletę, jakby się znajdował w swojej gotowalni, tymczasem wszyscy oczekiwali, aż skończy, ażeby wstać od stołu. Nie mogłam ukryć mego zdziwienia i zapytałam księżnej, czy i ona czekała.

— Niestety! — odparła — byłam tak zmieszana, że mi przytomność wróciła dopiero, kiedym zeszła ze wschodów; ale później było już inaczej: narzekałam na gorąco i wstawałam przy wetach.

Na tym samym obiedzie znajdował się u księcia Kaunitza pewien szlachcic wenecki, nazwiskiem Grandeni. Książę, będąc w dobrym humorze, zwra-

cał się do niego głośno, nazywając go *wielkim durniem*. Biedny cudzoziemiec nie umiał po francusku, a zdziwiony niepohamowanym śmiechem, poprosił swego sąsiada o wytłómaczenie.

— To dlatego — odparł ten — że jego książęca mość lubi, aby przy stole było wesoło.

Ale wenecyanin, którego ta odpowiedź nie zupełnie zadowoliła, zamyślił się i nie uważał na półmiski, które mu podawano. Książę spostrzegłszy, że to roztargnienie zmieszało służbę, rzekł na głos do swego marszałka:

— Dlaczego mu nie dasz kułaka?

Czyż słuchając tych szczegółów, nie wydaje się, że cofamy się o kilka wieków? Z pewnością książę Metternich, zajmujący dzisiaj stanowisko księcia Kaunitz'a, nie pozwoliłby sobie na tak dziwne maniery, choćby nawet miał do tego chętkę, czego nie ośmielam się przypuszczać, widząc go zawsze bardzo przyzwoitym i grzecznym. Nie mogę tego powiedzieć o jego żonie.

VI.

Mistyfikacya.

(1803)

Powrót do miasta. — Illuminat. — Zasadzka. — Wieczór w teatrze francuskim w Warszawie. — Tajemniczy wyjazd.—Jaskinia wróżbity.—Narada.—Czarna firanka podnosi się.—Zjawisko.—Uczta.—Rozwiązanie zagadki. — Książę Radziwiłł. — Fochy teściowej.—Narodziny spadkobiercy.—Natolin.

Zima sprowadziła nas do miasta. Rodzice mego męża już tam się urządzili, myśmy zamieszkali w ich pałacu. Wkrótce moja matka zajęła swój pokój, aby być obecną przy mojej chorobie.

Dałam już poznać, że lubiłam cudowność i że moja wyobraźnia lgnęła do rzeczy nadzwyczajnych; wiedząc, że mój teść był wolnomularzem i że uczęszczał do wielkiego wschodu, do loży bardzo znanej, istniejącej wówczas w Warszawie, nabrałam nadzwyczajnej ochoty przeniknięcia tajemnicy, której ważność przeceniałam. Paliła mnie ciekawość, gdy mi drżącej z trwogi, opowiadano o ciemnościach i pło-

mieniach, przez jakie trzeba sobię było torować drogę, o oknach, przez które trzeba było rzucać się w przepaść... o gwoździach, po których zmuszano stąpać!

Napróżno starałam się wyciągnąć mego teścia na słówko, śmiał mi się w oczy i pozostawał nieprzeniknionym, co mnie doprowadzało do rozpaczy. Nagle zauważyłam, że on, tak rozmowny i uśmiechający się zazwyczaj, miał chwile zamyślenia. Często czekano na niego z obiadem; przychodził późno, wydawał się roztargnionym, czasem nawet wcale nie przychodził. Moja teściowa wiedziała, oczywiście, co było przyczyną tych roztargnień, gdyż nie zdawała się niemi niepokoić, ale milczała. Zapytywałam mego męża, zgadzał się, że ojciec jego był zamyślony, ale zapewniał, że nie zna powodu.

Taki stan rzeczy trwał jakiś czas, a ciekawość moja wzrastała. W końcu pewnego razu moja teściowa odważyła się na półzwierzenie i powiedziała mi, że zaczyna się niepokoić, czy nie odkryto tajemnych zebrań, spowodowanych przybyciem sławnego illuminata, które to zebrania zajmowały wszystkie wolne chwile mego teścia. Nakazała mi jak najsurowsze milczenie i musiałam jej przyrzec, że nic nie powiem swemu mężowi, pozorując to niepokojem, jakiego mógł się nabawić. Nie będę się tu zastanawiała nad tem, czy zrobiła dobrze, czy źle, ucząc

mnie mieć tajemnice przed moim mężem? Odpowiedź jest drażliwa, ale przyznaję, że wiele kosztowało mnie to zamilczanie przed nim tego, co mnie wyłącznie zajmowało.

Ponieważ mój teść był bardzo słabego zdrowia i tryb jego życia wymagał nadzwyczajnych starań, codzień prawie o jednej godzinie wyjeżdżał na spacer zamkniętym powozem. Towarzyszyłam mu często, gdyż stan mój wymagał również ruchu, a pogoda nie pozwalała mi chodzić tyle, ile byłam przyzwyczajona.

Pewnego ranka, gdyśmy pojechali dalej niż zwykle, wydał mi się jeszcze bardziej zajętym i milczącym; nie mogłam się powstrzymać i odważyłam na zapytanie, dokąd chce mnie zawieźć?

Po kilku nic nie znaczących słowach powiedział, jakby mimowolnie.

— Gdybyś nie była tak młoda i gdybym mógł liczyć na twą zupełną dyskrecyę, opowiedziałbym ci zadziwiające rzeczy.

Czegóż trzeba było więcej? Prosiłam, błagałam, przysięgłam nawet i dowiedziałam się, że pewien wtajemniczony w sprawę nauk tajemnych ukrywał się na jednem z przedmieść.

— Widziałem nie jednego — rzekł mi teść — w rozmaitych krajach, po których podróżowałem; ale nigdy nie spotkałem nic podobnego.

Zwierzył mi się wtedy, że było ich wielu,

wszystko ludzie rozumni (znałam ich), którzy, co wieczór słyszeli i widzieli rzeczy!... ale rzeczy tak nie zwykłe, że gdyby mi je opowiedział, nie uwierzyłabym.

Słuchałam z uwagą tak chciwie, że nie zauważyłam, gdy powóz wjechał na dziedziniec naszego pałacu.

Tego dnia nie mogłam już wrócić do przedmiotu, o którym myślałam cały dzień i marzyłam przez całą noc.

Nazajutrz zwierzenia stały się jaśniejszemi. Dowiedziałam się, że za pomocą pewnej ofiary pieniężnej [1]) mogłam mieć nadzieję, że będę dopuszczona za próg świątyni, jeśli nie wtajemniczona we wszystkie cuda, jakie mają prawo poznawać sami tylko adepci. Było to daleko więcej niż ośmielałam się żądać; aż dotąd moje skromne pragnienia ograniczały się na słuchaniu o cudach.

Wielce uradowana, pobiegłam po pieniądze, które zaoszczędziłam, a za powrotem otrzymałam pół obietnicy, gdyż należało przedewszystkiem przemówić do serca illuminata za pomocą ponęty miłosierdzia, jakie mógł spełnić darem, i w ten sposób nieznacznie zniewolić go do przyjęcia mojej osoby.

Te trudne układy zajęły jeszcze kilka dni, które

---

[1]) Suma była przeznaczona na wsparcie biednych; illuminat przechwalał się filantropią.

wydały mi się wiekiem; ale w końcu mój teść oznajmił mi, że ponieważ wziął mnie na swoją odpowiedzialność, przyjęto moją ofiarę, będę powołana do posłyszenia tego, co słyszało niewiele uszu i ujrzenia tego, co widziało niewiele oczu. Radość moja wybuchła z takiem uniesieniem, że się tem przestraszył. A teraz, kiedy przypominam sobie wszystkie wzruszenia, na jakie jeszcze mnie wystawiono, dziwię się, że zdrowie moje na tem nie ucierpiało.

Gdy już naznaczono dzień prób, postanowiliśmy, że pójdę, jak zazwyczaj, do teatru francuskiego i że o umówionej godzinie mój teść da mi znak; mam wówczas się poskarżyć na gorąco, a on zaofiaruje się mnie odprowadzić. Poradził mi tylko, abym zaopatrzyła się w woal, ze względu, że kobieta ze znaczeniem nie powinna nigdy z łatwością dać się poznać, kiedy wychodzi dokądkolwiek w tajemnicy.

W chwili, gdyśmy wsiadali do powozu, zauważyłam, że latarnie nie były zapalone, a służba nie miała liberyi.

— Jest to w zwyczaju w takich razach — rzekł mój teść — sądzę, że to cię nie przestrasza.

Byłam pewna, że nic nie potrafi zachwiać mojej odwagi, czułam jednak, że moje nerwy są bardzo wzburzone.

Powóz jechał z nadzwyczajną szybkością. Przejechaliśmy w taki sposób znaczną przestrzeń. Ponie-

waż robiło się bardzo zimno, szyby były podniesione i nie mogłam zobaczyć, przez jakie przejeżdżaliśmy ulice. Powiedziano woźnicy, aby pojechał *tam, gdzie jeździł co wieczór*. Nagle przekonałam się, że jedziemy nie po bruku.

— Więc to za miastem? — spytałam.

— Tak, rzeczywiście, gdyż ten człowiek musi się ukrywać; gdyby go odkryto, byłby zaaresztowany. A więc — dodał mój teść — nie zapominaj nigdy, że najmniejsza nieostrożność niechybnieby nas zgubiła.

— Ach! — zawołałam — jakie nierozsądne są rządy, prześladując tak naukę!

Wkrótce powóz znów wjechał na bruk; weszliśmy w dziedziniec, zatrzymaliśmy się, a lokaj w milczeniu otworzył nam drzwiczki. Mój teść wysiadł szybko i poprosił mię, abym zaczekała, gdyż mi poświecą. Ciemność i milczenie były zupełne. Czułam się już mniej dzielną. Jednak żywa ciekawość podtrzymywała jeszcze moją odwagę. Mój teść powrócił w towarzystwie człowieczka w czarnym surducie: miał on ślepą latarkę. Schody były wązkie i strome i wchodziłam na nie z trudnością.

— Oto, pomyślałam sobie, tak mieszkają ludzie, poświęcający się naukom tajemnym.

Gdyśmy weszli do korytarzyka zimnego i ciemnego, nasz przewodnik, który był służącym illumi-

nata, oddalił się, nie wymówiwszy słowa i zostawił nas w zupełnej ciemności.

— Teraz — rzekł mój teść — dam znak umówiony...—Zastukał trzykrotnie w sposób szczególny. Po chwili oczekiwania usłyszeliśmy grobowy głos, który wymówił tylko trzy słowa: *wejdź, mój bracie!*

Nagle zaczęłam drżeć jak liść i osunęłam się w ramiona mego teścia.

Pokój, w którym się znaleźliśmy, był obszerny i ciemny. Lampa, pokryta umbrelką, słabo go oświetlała; lampa ta umieszczona była na wielkim stole, który stał na środku sali i pokryty był czarnem suknem. Starzec, siedzący przy tem niby biurku, miał na sobie dziwaczne odzienie, które przypominało raczej wschód niż Europę, i uważnie czytał. Pogrążony w czytaniu, nawet nie podniósł oczu, gdyśmy się zbliżyli. Miał on ogromne okulary; białe włosy spadały mu na ramiona, a jego zgięta i, że tak powiem, cierpiąca postać, mówiły o długich pracach. Drewniany kałamarz, trupia główka i stos ogromnych foliałów, leżących na stole, oto i wszystko.

W sali nie było wcale sprzętów, ściany były gołe; spostrzegłam tylko w kącie pokoju szeroką firankę z czarnego sukna, która zasłaniała całą ścianę w głębi i zdawała się coś ukrywać. Obok wznosiło się wklęsłe lustro olbrzymiej wielkości w ramach z czarnego drzewa.

— To zapewne, pomyślałam, jest to zwierciadło, w którem można zobaczyć *przyszłość*, a firanka zakrywa prawdopodobnie cudowne zjawiska, gdyż wszystko w moich oczach przybierało pozór nadprzyrodzony.

Weszliśmy bez szmeru.

— Mistrzu! — rzekł w końcu mój teść, a starzec podniósł głowę.—Oto młoda kobieta, o której ci oznajmiłem; serce jej, *jak wiesz*, jest pełne litości, a umysł spragniony światła, ale ponieważ ona jeszcze nie umie ani po grecku, ani po łacinie, zechciej mówić do niej po francusku.

Illuminat zwrócił się w moją stronę.

— Czego pragniesz, moja siostro? — rzekł do mnie bardzo poważnym tonem.

Ja się w tej chwili pragnęłam znaleźć w moim salonie, z zapalonemi kandelabrami i wśród miłego towarzystwa, które mnie tam oczekiwało, alem nie chciała dać poznać, że się boję i rzuciłam tylko błagalne spojrzenie na mego teścia, ażeby mi dopomógł do wypowiedzenia tego, czego powinna byłam pragnąć.

— Ona wie, mistrzu, że rządzisz przyrodą, że twoja głęboka nauka pozwala ci wszystko wiedzieć, i że duchy są na twoje rozkazy. Chciałaby zatem zobaczyć jeden z tych cudów, które tobie są właściwemi.

Starzec pochylił głowę i wydawał się pochło-

niętym swemi myślami. Głębokie milczenie zapanowało ponownie. Znalazłszy się w pobliżu foliałów, machinalnie wyciągnęłam rękę, chcąc otworzyć jedną z tych ksiąg.

— Nie dotykaj się tego!—zawołał człowieczek—spostrzegłabyś tam obrazy, któreby zmroziły cię strachem; niepowołani nie mogą bez niebezpieczeństwa zapoznawać się z tem, co zawierają moje książki.

To zdanie trochę za długie pozwoliło mi rozpoznać dźwięk głosu, który nie był mi obcym, i pochyliłam się do mego teścia, ażeby mu powiedzieć szeptem:

— To z pewnością głos p. R.

— To prawda i mnie także za pierwszym razem to uderzyło — odparł z prostotą, która nie dopuszczała żadnych podejrzeń.

— Co mówi siostra?—zapytał starzec.

— Podziwia poważny i majestatyczny dźwięk twego głosu—odparł mój teść.

Illuminat skłonił się z poważną pokorą i jak człowiek, którego wzbudzony podziw zmusza do spełniania obietnicy, danej za pośpiesznie, rzekł:

— Ponieważ brat tego *wymaga* i odpowiada za ciebie, moja siostro, powiedz śmiało: co życzysz sobie widzieć? bestye apokaliptyczne, umarłych lub nieobecnych?

Czułam, że słabnę na samą myśl o bestyach i umarłych, i rzekłam: Nieobecnych.

— Uprzedzam cię — powiedział iluminat — że moja władza nie rozciąga się na morza i że działa tylko na przestrzeni dwunastu tysięcy sześciuset czterdziestu mil. Teraz powiedz, kogo chcesz ujrzeć.

Ponieważ moje uczucia skupiały się na jednym tylko punkcie kuli ziemskiej, darowałam mu dwanaście tysięcy sześćset trzydzieści mil i zapragnęłam zobaczyć moją matkę, mego męża i moją przyjaciółkę (panią Sobolewską).

— To dobrze — odparł — ale ponieważ nie jesteś jeszcze adeptką, nie możesz być obecną przy ceremonii przygotowania. Odejdź zatem na chwilę do sąsiedniego pokoju.

Musiałam, rada nie rada, wrócić do tego ciemnego i zimnego korytarzyka, przez który przeszliśmy wchodząc. Była to ostatnia próba i nie najłatwiejsza. Być tak samą, po wstrząśnieniach, jakich doznałam, zdawało mi się przewyższać moje siły. Oparta o drzwi, zaczęłam sobie wyrzucać moją ciekawość, która wydała mi się występną; gorąco prosząc mego Anioła Stróża, aby czuwał nademną, uroczyście mu przyrzekłam, że już nigdy na nic podobnego się nie skuszę.

Po kilku minutach mój teść otworzył drzwi i kazał mi wejść.

— Siostro, będziesz wysłuchaną, ale uprzedzam cię, że jeśli postąpisz krok, wymówisz jedno słowo, urok pierzchnie natychmiast i wszystko zniknie. Teraz patrz uważnie, zobaczysz tych, co są drogiemi dla ciebie, gdzie są obecnie.

Wymówiwszy te słowa z imponującą powagą, starzec trzy razy klasnął w dłonie. Czarna firanka, jaką zauważyłam wchodząc, rozsunęła się jakby sama i spostrzegłam przez lekką mgłę lożę, opuszczoną przezemnie przed chwilą, i trzy wyzwane osoby, zdające się słuchać uważnie, jak gdyby sztuka, której tylko akt pierwszy widziałam, jeszcze się nie skończyła. Rysy, ubiór, ruchy, wszystko było tak doskonale podobnem, że nie mogłam wstrzymać okrzyku. Firanka zasunęła się i usłyszałam śmiechy.

— Ach! tym razem okazałaś się tak odważną— rzekł mój teść — że niepodobna odmówić ci zaznajomienia ze wszystkiemi czarami, jakie odbywają się w tym domu. Chodź.

I prowadząc mię do tajemniczej firanki, odsunął ją. I zobaczyłam nie przez mgłę, ale zupełnie wyraźnie, stół wytwornie nakryty, oświetlony stu świecami, a zebrani przy nim nasi przyjaciele wesoło biesiadowali. Oniemiałam ze zdziwienia.

Podniesiono się, otoczono mnie, wypytywano, co myślę o swojem upodobaniu do cudowności.

Cudowność... nie mogłam mówić, nie wiedzia-

łam, co odpowiedzieć. Niepodobieństwem mi było oddzielić prawdy od zmyślenia.

— Ale gdzież jesteśmy? — zapytałam w końcu.

— W domu pana M. M., tu nieobecnego. Wieziono cię z tysiącznemi zakrętami, byłaś nawet za miastem.

— A to tajemnicze wejście?

— Schodki kuchenne, któremi nigdy nie szłaś.

— A illuminat.

— Jest to p. R. i o mało co go nie poznałaś po brzmieniu jego głosu.

— A mgła?

— Z gazy.

— A loża?

— Dekoracya z malowanego papieru.

— A księgi, których zabroniono mi się dotykać?

— „Podróż z Neapolu do Sycylii."

— A uczta?

— Za twoje zaoszczędzone sto dukatów, przeznaczone na uczynki miłosierne illuminata.

— Ależ w końcu zamyślenie mego teścia?

— Mistyfikacya, przygotowana oddawna.

Najzręczniejszem, najbardziej zadziwiającem w tym spisku było to, że tak dalece obrachowano stopień mojej odwagi i moich uczuć, i że naprzód

odgadnięto, iż nie zakłócę spokoju umarłych i zechcę przyzwać te same osoby, o których myślano.

Moja matka i mój mąż nie byli przypuszczeni do tajemnicy przygotowań; dopiero przy wyjściu z przedstawienia moja teściowa uprzedziła ich o miejscu, dokąd należało się udać, i o tem, co się stanie. Obawiano się słusznie, żeby ich troskliwość nie zdradziła tajemnicy, od której zależało uprzyjemnienie wieczoru, którego celem był pewien pożytek. Przekonałam się wtedy, jak łatwo jest wprowadzić wyobraźnię na fałszywe tory i nadużyć łatwowierności, bo niewątpliwie, gdybym była odjechała natychmiast po spuszczeniu firanki i gdyby mię odprowadzono do domu tą samą drogą i z temi samemi zakrętami, trudno byłoby następnie naprowadzić mnie na słuszną ocenę rzeczy tego rodzaju. Utwierdziłabym się w przekonaniu, że illuminaci znajdują się w poufałych stosunkach z duchami i że nic z nadprzyrodzonej dziedziny nie jest dla nich niemożliwem.

Nie dotknęło mnie to wcale, że byłam wywiedziona w pole, owszem, nikt odemnie lepiej się nie zabawił. Ale wieczór ten pociągnął za sobą nudy niezmierne. W ciągu dwóch tygodni co najmniej musiałam opowiadać szczegóły wszystkiego, co zaszło tym, którzy tam się nie znajdowali; jednych objaśniać, innych zapewniać, mówić to samo dziesięć razy na dzień, poruszać te same nazwiska. Myślałam,

że nie wytrzymam i wreszcie miałam chęć odpowiedzieć, jak jeden z domowników księcia Karola Radziwiłła [1]), wezwany przez tego sławnego bajarza na świadka, że książę brał udział w jakiejś sławnej bitwie, powiedział: „Nie mogę zaręczyć za ten fakt, wasza książęca mość, gdyż na początku potrzeby zostałem zabity."

Ten sam Radziwiłł, będąc w Paryżu na początku panowania Ludwika XV, narobił wielkiej wrzawy swoją rozrzutnością. Nigdy nie kupował inaczej, jak pół lub ćwierć sklepu, mówiąc, że wybieranie zajmuje za wiele czasu i że krótszą jest rzeczą wyrzucać później przez okna przedmioty niepotrzebne. Wdzięczni paryżanie nazwali jego imieniem pasaż, jeszcze do dziś istniejący.

Reszta zimy upłynęła spokojnie, nie sprowadziwszy wypadków ważnych, chyba dla mnie, dla której nowy jeszcze sposób życia składał się z tysiącznych drobnych zdarzeń, pozostających w pamięci z powodu wrażenia, jakie na nas wywarły.

Zamieszkując ciągle pałac naszych rodziców, mieliśmy osobne gospodarstwo. Wydawało mi się, że mi wolno zapraszać ludzi do siebie i zbierać od

---

[1]) Podczas tej bitwy, książę widząc, że zbraknie amunicyi, zaczął zbierać rękami kule, co się toczyły koło niego i nabijać niemi armaty, by odesłać jeszcze gorące nieprzyjacielowi. (Przypisek autorki.)

czasu do czasu osoby, które najwięcej mi się podobały. Uważaliśmy, aby wybierać dnie, kiedy moja teściowa nie była sama i sądziliśmy, że nie będzie się sprzeciwiała naszym małym zebraniom, gdzie najstarszy współbiesiadnik nie miał jeszcze trzydziestu lat. Niestety! nie tak się działo. Uczuła się dotkniętą i uważała za niegrzeczne to wyłączanie, które było tylko chęcią uniknienia przymusu i użycia przyjemności naszego wieku. Gdyby powiedziała otwarcie, chętnie poświęcilibyśmy te krótkie chwile płochej wesołości; ale ona martwiła się w *milczeniu*, i od tej pory zapanował między nami przymus, który nigdy już nie zniknął.

17 marca, po dwudziestu ośmiu godzinach najstraszniejszych cierpień, wydałam na świat syna (Augusta), którego urodzenie, tak gorąco pożądane, zaspokoiło wszystkie moje pragnienia.

Miałam potem dwoje dzieci (Natalię i Maurycego), ale już nigdy nie doznałam wrażenia, jakie uczułam przy pierwszym krzyku tego pierwszego dziecka. Radość moja była szałem, który na kilka minut pozwolił mi zapomnieć o mojem osłabieniu; spróbowałam podnieść się, aby zobaczyć mego syna. Ale upadłam wyczerpana nadmiernemi cierpieniami, jakich doznałam. Młoda i silna, szybko przychodziłam do siebie i dziewiątego dnia, siedząc na szeslongu, przyjmowałam zwykłe powinszowania.

Szczęście moje zdawało się utwierdzać narodzeniem spadkobiercy. Niestety! razem z powrotem do zdrowia rozpoczęły się drobne kłopoty i wreszcie spostrzegliśmy, że chociaż jest nam bardzo dobrze u naszych rodziców, jednak lepiej będzie u siebie. W tym to czasie zamieszkaliśmy w Natolinie, a ja zaczęłam się zajmować tą śliczną wioską.

Oddałam się temu z zapałem. Rysowałam wszystkie plany, interesowałam się wszelkiemi szczegółami. Nie znając tych krajów, marzyłam o Włoszech, o Grecyi. Mój teść był moim przewodnikiem i wydawał się dumnym z tego, że zrobił ze mnie *artystkę*. Od tej chwili nie miałam innych fantazyj, moja miłość własna, jak również moje wymagania skupiły się około Natolina, około tego małego arcydzieła, które wydawało mi się godnem *nieśmiertelności*.

Kiedy brakowało pieniędzy, sprzedawałam moje brylanty, aby kupić marmury i bronzy. Mój mąż zdawał się podzielać moje zamiłowanie i jakkolwiek niezbyt zdolny do zapału, patrzył z dumą na moje dzieło.

Szczęśliwe czasy, gdy jedyną przyczyną moich bezsenności było przepełnienie wyobraźni! Ileż to razy śniłam z otwartemi oczyma! Z jakąż niecierpliwością oczekiwałam dnia, aby rzucić na papier myśli, które zrodził spokój nocy!

VII.

Cesarz Aleksander w Wilanowie.

(1805)

Niespodziewany gość. — Książę Adam Czartoryski.—Obiad.—Rozmowa Aleksandra. — Księga pamiętnikowa.

Pewnego wieczoru, gdyśmy najspokojniej pili herbatę przy kominku, podano memu mężowi list, którego treść zdawała się go zadziwiać, a kiedy nalegałam, aby mi powiedział od kogo, rzekł mi, żebym odgadła, kto był tym cudzoziemcem, którego nam na jutro obiecano. Naprożno się męczyłam; nie odgadłam.

Czyż mogłam sobie wyobrazić, że to trzeba się było przygotować na przyjęcie Cesarza Aleksandra i Jego świty?

Ludzie nasi dokazali cudu. Ponieważ blizkość wielkiego miasta dopomagała do urządzenia takiej niespodzianki, udało im się ponad nasze oczekiwania. O drugiej wszystko było gotowe, zaprosiłam mego

wuja, księcia Józefa Poniatowskiego, jak również siostrę jego, hrabinę Maryę Teresę Tyszkiewiczową, aby mi pomogli robić honory na tym królewskim obiedzie, mnie, biednej nowicyuszce, występującej po raz pierwszy wobec samowładcy.

Cesarz przyjechał o czwartej. Był on młody i piękny; ale jakkolwiek miał ujmującą postawę, jego maniery wydawały mi się bardziej eleganckiemi niż wytwornemi. Ruchom jego brakowało tej łatwości, jaką daje prawie zawsze wyjątkowe stanowisko i przyzwyczajenie do rozkazywania. Wydawał się zakłopotanym; wszystko, aż do nadmiernie obciśniętego munduru, nadawało mu raczej wygląd zachwycającego oficera, niż młodego monarchy.

Towarzyszył Cesarzowi książę Adam Czartoryski, syn księcia generała. Mówiono, że przyjaciel ten, którego jedyną namiętnością była miłość ojczyzny, natchnął samowładcę do postanowienia przywrócenia Polski. To jest pewnem, że Prusacy, naówczas panowie Warszawy, nie pozwolili przejeżdżać Cesarzowi przez miasto, obawiając się entuzyazmu, jaki jego obecność mogłaby wywołać w chwili, kiedy zapewniano głośno, że ma się ogłosić królem Polski.

To właśnie sprowadziło nam zaszczyt odwiedzin.

Generał pruski Kalkreuth, komendant warszaw-

ski, otrzymał rozkaz udania się naprzeciwko Cesarza i odprowadzenia go do granicy.

Ta honorowa ostrożność nikogo nie mamiła i była powodem śmiechu dla wszystkich.

Nie wiem już, jakim sposobem mąż mój odebrał rozkazy Jego Cesarskiej Mości co do osób, mających zasiadać do stołu, bądź co bądź, książę Czartoryski i generał Kalkreuth dostąpili tego zaszczytu; reszta orszaku jadła obiad w oddzielnym salonie.

Ponieważ książę Poniatowski wymówił się, ciotka moja przyszła sama. Wszystkich więc biesiadników było sześcioro

Na pierwszem miejscu położono oddzielne nakrycie. Cesarz, jak się zdawało, był z tego niezadowolonym i przysunął swój fotel do mego krzesła. Jadł mało, a dużo mówił. Rozmowa jego była prosta i ostrożna; nie można było osądzić, czy ma dużo wiadomości, ale niepodobna było mu nie przyznać wyższości poglądów i ogromnego umiarkowania. Nie było zupełnie mowy o wypadkach, jakie go tu sprowadziły, a niewiele słów, wypowiedzianych w tym względzie, odznaczało się oględnością. Generałowie, tworzący jego świtę, nie byli tak skromni; pytali nas, co mamy do załatwienia w Paryżu, wyobrażając sobie, że ich tryumfy i zwycięztwa oprą się tam dopiero. W miesiąc po wyjeździe naszego znakomi-

tego gościa dowiedzieliśmy się, że został pobity pod Austerlitz i nie oparł się aż w Petersburgu.

Powracam do obiadu, który przeciągnął się bardzo długo. Aleksander nie dosłyszał, mówił przesadnie pocichu; nie ośmielano się prosić go, aby powtórzył to, co powiedział i przez uszanowanie odpowiadano mu najczęściej na chybi trafi.

Przeszedłszy do salonu, bawił jeszcze dwie dobre godziny, wciąż stojąc. Mówiono, że tak był ściśnięty ubraniem, iż każda inna pozycya była dla niego niedogodna; wreszcie około północy oddalił się, wybierając najskromniejszy z dwóch apartamencików, które dla niego były przygotowane.

Nazajutrz trzeba było wstać bardzo wcześnie, aby być obecną przy śniadaniu Jego Cesarskiej Mości i pożegnać go. Zdrowie moje nie nadawało się do tych wszystkich trudów. Na wsiadaniu cesarz zapytał mnie bardzo łaskawie, czy nie miałby możności okazania nam wdzięczności.

Miałam wielką chęć, widząc go w tak dobrem usposobieniu, powiedzieć tylko jedno słowo... Ale spojrzenie mego męża, który mnie odgadł, wstrzymało uniesienie i zmusiło mnie do powrócenia w granice przepisane zwyczajem etykiety, która nie zgadza się z żadną *improwizacyą*, a której najważniejszą regułą jest nie żądać od panujących niczego ponad to, czego z góry postanowili nie odmówić.

Trzeba więc było poprzestać na prośbie, żeby raczył wpisać swe imię w księdze pamiątkowej, gdzie wszyscy cudzoziemcy zostawili tę pamiątkę; wpisał się chętnie na pierwszej stronicy. Byliśmy dalecy od myśli, żeby imię Napoleona mogło się wkrótce znaleźć obok imienia cesarza rosyjskiego.

CZĘŚĆ DRUGA.

FRANCUZI W WARSZAWIE.

(1806 — 1807)

I.

Przednia straż.

Koniec wojny pruskiej.—Wejście oddziału francuzów do Warszawy. — Pan de F...t. — Murat. — Bal, wydany przez Księcia Poniatowskiego.—Kita Murat'a.

Pierwszy rok naszego pobytu na wsi upłynął niezwykle szybko, gdyż byliśmy zajęci niezliczonemi pracami i projektami. Wróciliśmy dopiero do Warszawy w końcu października.

Ponieważ dzienniki cudzoziemskie nie były, jak dzisiaj, jedną z pierwszych potrzeb życia, i bardzo niewiele ludzi trzymało je, więc w dnie pocztowe drzwi uprzywilejowanych były oblężone przez wszystkich,

ciekawych dowiedzieć się, co się stanie z monarchią pruską.

Wszyscy wciąż wierzyli w gwiazdę Napoleona. Pewnem było, że z tej wojny, jak ze wszystkich, wróci zwycięzcą; ale nikt nie spodziewał się, że z taką szybkością zwycięży armię jeszcze dumną ze swojej karności i dosyć świeżych powodzeń. Odtąd upadek Prus i przywrócenie Polski wydało się najrozsądniejszym rzeczą prawdopodobną.

Publiczność tak mało się krępowała w wypowiadaniu swych uczuć i swych nadziei, że Prusacy, znienawidzeni panowie kraju, którego nie zdobyli, ale który przypadł im w podziale (1795 r.), nie mogli się omylić co do sympatyj, jakie wzbudziły wypadki, a jednak, trzeba im to przyznać, że nigdy się z tem nie zdradzali; władze pruskie poprzestały na utrudnianiu, o ile można, wiadomości. Dzienniki konfiskowano, listy palono, ukrywano starannie przed nami tryumfalny pochód armii francuskiej; ale nie można było długo tłumić chlubnych odgłosów zwycięztwa pod Jeną i wejścia Napoleona do Berlina.

Od tej chwili zapaliły się głowy wszystkich tak, że nie ukrywano już swojej radości. Restauracye były zapełnione wrzącą młodzieżą, która przy brzęku szklanek śpiewała pieśni patryotyczne i wielogłośnemi okrzykami wzywała *oswobodzicieli* i *braci*.

General Kalkreuth, komendant miasta, dowię-

dziawszy się tajemnie, że cesarz opuścił Berlin i zmierza do Poznania, wysłał natychmiast gońca, aby otrzymać rozkazy, gdyż zapomniany w popłochu, znajdował się w wielkim kłopocie. Myśląc ciągle o cofnięciu się, potrafił okryć głęboką tajemnicą ruchy wielkiej armii tak, że prawie w jednym dniu dowiedzieliśmy się o wyjściu z Berlina i wejściu Napoleona do Poznania.

Był to znak do cofnięcia się dla władz pruskich, które opuściły Warszawę, przeprowadzane krzykami uliczników, ażeby się połączyć z Rosyanami, obozującymi po drugiej stronie Wisły. Król pruski napisał do księcia Poniatowskiego, naznaczając go gubernatorem miasta i naczelnikiem gwardyi narodowej, która nie istniała. Prosił go, aby czuwał nad bezpieczeństwem mieszkańców, zapewniając, że nie mógłby oddać sprawy tak ważnej w godniejsze ręce; ale ponieważ prusacy nie zostawili ani jednej strzelby, książę był zmuszony uzbroić jakkolwiek setkę ludzi, którzy zaopatrzeni w piki i okute kije, zajęli miejsce na odwachu. Taki stan rzeczy trwał bardzo krótko.

21 listopada rano dano znać, że wszedł oddział Francuzów.

Jakże opisać zapał, z jakim go przyjęto? Aby dobrze zrozumieć takie wzruszenia, trzeba, jak my, stracić wszystko i wierzyć w możność spodziewania się wszystkiego. Ta garstka dzielnych, co dotknęła

naszej ziemi, zdawała nam się gwarancyą niezależności, jakiej oczekiwaliśmy od wielkiego człowieka, któremu nic się nie oparło.

Upojenie doszło szczytu, całe miasto oświetliło się jakby cudem. Tego dnia z pewnością władze nie potrzebowały się zajmować umieszczeniem przybyszów — kłócono się o nich, wyrywano ich sobie, każdy ubiegał się, żeby ich najlepiej przyjąć. Ci z mieszczan, co nie umiejąc po francusku, nie mogli się porozumieć, używali języka niemego, właściwego wszystkim krajom, i znakami uciechy, uściskami rąk, wybuchami radości dawali do zrozumienia swoim gościom, że ofiarowują im z całego serca wszystko, co było w ich domu, *łącznie z piwnicą.*

Stawiano stoły nawet po ulicach i na placach, wzniesiono nie jeden toast za przyszłą niezależność, za dzielną armię, za wielkiego Napoleona!... Ściskano się, bratano, trącano się trochę za wiele, gdyż żołnierze w końcu puścili się na wybryki, które na chwilę ostudziły zapał, z jakim byli przyjęci.

Nazajutrz książę Murat, wówczas wielki książę Bergu, wjechał konno. Ujrzano moc kit, haftowanych mundurów, złotych i srebrnych galonów etc. Mieszkanie było dla niego przygotowane w pałacu Raczyńskich; ale ponieważ nie było mu tam dobrze z powodu dymiącego kominka, przeniósł się do nas.

Byłam bardzo ciekawa zobaczyć francuza; wczo-

rajsi nie rachowali się, widziano ich w masie. Gdy nadeszła godzina kolacyi, mój teść, hrabia Stanisław Potocki, posłał z zapytaniem, czy adjutanci Jego Wysokości nie przyjdą. Doznałam wielkiego zawodu, gdy ci panowie kazali podziękować, gdyż nigdy nie jadali kolacyi. Ale zaledwie siedliśmy do stołu, gdy w sąsiedniej sali dał się słyszeć brzęk szabli i ostróg i ujrzeliśmy wchodzącego oficera od huzarów, który zbliżył się z pośpiechem, jaki się okazuje tylko dobrym znajomym.

— Ach! to Karol! — zawołał mój mąż, który znał go z Paryża, i uściskawszy go, przedstawił nam.

Imię to nie było mi obcem, słyszałam o panu de Flahaut jako o człowieku bardzo ujmującym, który wzbudził wielką miłość w jednej z najdystyngowańszych współrodaczek naszych.

Kobiety rozsądne nie zbyt lubią ludzi mających szczęście do kobiet, lub przynajmniej nie dowierzają im. Mniej rozsądne, ale liczące na swoje zasady, znajdują przeciwnie szczególną przyjemność w wyzywaniu takich mężczyzn. Przyznam bez wykrętów, że należałam do ich liczby; było mi jednak bardzo nieprzyjemnie, gdy mię zaskoczono nagle i nie mogłam zająć się swoim strojem. Spuściłam głowę, postanowiwszy nie dać się zobaczyć i wcale nie patrzeć; ale dźwięk głosu, jakiego nigdy nie słyszałam, za-

chwiał to postanowienie i podniosłam oczy, aby zobaczyć, jaką twarz może mieć człowiek, mówiący tak dźwięcznie. Zdaje mi się, że to jedyna osoba, którą słyszałam zanim ją ujrzałam.

Karol miał dwadzieścia jeden do dwudziestu dwóch lat; nie będąc klasycznie pięknym, posiadał twarz zachwycającą, spojrzenie jego było przysłonięte melancholią, zdradzającą ukryty smutek. Jego maniery były wytworne, ruchy naturalne, rozmowa dowcipna, poglądy niezależne; żaden człowiek nie uosabiał lepiej wyobrażenia, jakieśmy sobie wyrobili o bohaterze romansu i dzielnym rycerzu.

To też jego matka, pani de Souza [1]), posługiwała się nim jako typem, który przedstawiała pod rozmaitemi imionami w swoich mdłych romansach.

Spędził z nami część wieczoru. Zarzucono go pytaniami o tej zadziwiającej wojnie, ukończonej w kilka dni.

Odpowiedzi jego były w najlepszym smaku, bez chełpliwości; posiadał umiejętność rozmawiania jak prawdziwy Francuz, nigdy nie wyczerpując przedmiotu, przechodząc z jednego na drugi bez poryw-

---

[1]) Adela Marya Emilia margrabina de Souza Botelho (z pierwszego małżeństwa Flahaut), ur. 1760 r. w Normandyi, zm. 1836. Była autorką licznych romansów, z których najlepsze są: „Sénauges ou lettres de lord Sydenham“ i „Eugène de Rattelin.“

czości, ale i bez opieszałości. Pod koniec wieczoru rozmowa pociągnęła mnie; spostrzegłam, iż słuchał mnie z przyjemnością i przyznaję, że mi to pochlebiło.

W dwa dni po swojem przybyciu książę Murat, oznajmiwszy mi swoję wizytę, przyszedł wieczorem z licznym orszakiem. Był to mężczyzna wysoki, o twarzy, dajmy na to, pięknej, ale niemiłej, gdyż nie miała ona szlachetności i całkiem pozbawiona była wyrazu. Miał majestatyczną minę aktorów, grających królów. Można było wkrótce spostrzedz, że jego maniery były sztuczne i że zwykle musiał mieć inne. Nie wyrażał się źle, gdyż bardzo uważał, ale jego gaskoński akcent i niektóre wyrażenia zbyt żołnierskie sprzeczały się raczej z książęcą godnością. Lubił opowiadać o swoich wojskowych czynach i mówił o wojnie przez godzinę co najmniej.

Wzięcie Lubeki było jego ulubionym tematem; wszedł do tej fortecy na czele swojej kawaleryi, jakby do ataku. Był to piękny czyn wojskowy, ale niezbyt miły do słuchania. Krew płynęła strumieniem po ulicach, konie stawały dęba wobec stosu trupów. Ten zbyt wierny obraz wojny nie był pocieszającym dla nas, biednych kobiet, które miałyśmy widzieć wstępujących do wojska wszystkich nam drogich.

Murat nabrał już przyzwyczajeń książąt, nie rozmawiał, ale mówił, pochlebiając sobie, że go słuchają

jeśli już nie z przyjemnością, to przynajmniej z pełną poszanowania uwagą.

Wstając wreszcie i kłaniając się z godnością, powiedział nam, że wraca do swego gabinetu, aby obejrzeć mapę Polski i stanowiska armii rosyjskiej.

W kilka dni potem był wielki bal w Zamku. Murat, zmuszony do ukazania się, powiedział księciu Poniatowskiemu, że słysząc o piękności Polek, chciałby ją sam osądzić. Wuj mój urządził bardzo piękną uroczystość. Byłam niezdrowa i nie mogłam być na niej, ale przyniesiono mi wiadomości natychmiast. Książę ukazał się na niej w galowym ubiorze. Widziałam go potem w tym kostiumie jakby teatralnym, i tak właściwym *jego krwi książęcej*. Godną podziwn była tylko kita, ta kita trójkolorowa, którą widywano zawsze powiewającą tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo. A Polacy, zachwyceni tak wielką odwagą, chętnie byliby włożyli koronę na tę pełną chwały kitę.

Nigdyśmy się nie dowiedzieli, czy Napoleon robił takie nadzieję swemu szwagrowi, ale pewnem jest, że Murat powziął te nadzieje i lubił robić porównania pomiędzy losem Sobieskiego i swoim. Było to nawet jednym z jego ulubionych przedmiotów rozmowy, powracał do niego ciągle i kazał sobie opowiadać wszystko, co miało związek z wyniesieniem tego króla-żołnierza,

II.

Wejście Napoleona.

Tryumwirat. — Przygotowania. — Tajemne przybycie cesarza. — Przyjęcie urzędowe.

Gdy się dowiedziano o przybyciu cesarza do Poznania, postanowiono wysłać deputacyę na jego spotkanie. Nie było to rzeczą łatwą, bo najznakomitsi ludzie byli na wsi, oczekując końca wypadków. Nadto ludzie, których majątki znajdowały się pod panowaniem cesarza rosyjskiego, również stali na uboczu; mieli oni doświadczenie przeszłości i wiedzieli, że niechybnym skutkiem nieostrożnego kroku byłaby konfiskata.

Wybrnięto z kłopotu, urządziwszy dość nieznaczący tryumwirat, który był wysłany naprzeciwko zwycięzcy. Swojem orlem spojrzeniem ocenił on z szybkością wartość tej deputacyi i zwrócił się do niej z wyrazami błahemi i wcale nie odpowiadającemi nadziejom, jakie zrodziło jego zbliżenie. To, że

książę Murat rozgłosił, iż cesarz wejście swe urządzi z wielką pompą, było tylko dlatego, aby wysłać do *Monitora* błyskotliwy artykuł. Pospieszono ze wzniesieniem łuków tryumfalnych, przygotowano iluminacyę, ułożono napisy rymowane, upleciono wieńce. Wszystkie te przygotowania okazały się zbyteczne; Napoleon pozwolił sobie zawieść powszechne oczekiwania. Przybył o czwartej rano na lichej szkapie, którą kazał sobie podać na ostatniej stacyi.

Łatwo można sobie wyobrazić popłoch, jaki wywołało to zdarzenie w zamku, gdzie wszystko było pogrążone w głębokim śnie. Cesarz sam poszedł na odwach, by zbudzić wartę, która dała znak umówiony. Zamieszanie było tem większe, że naprawy, jakie należało przedsięwziąć w zamku, niezamieszkałym od wielu lat, nie były jeszcze skończone.

Na szczęście, apartament ostatniego króla był nietknięty i zdawał się oczekiwać tego nowego gościa. Ta część zamku, zbudowana za Stanisława Augusta, nosi na sobie piętno doskonałości, urągającej uszkodzeniom czasu i absolutyzmowi mody.

Cesarzowi towarzyszył tylko Roustam, jego mameluk. Powozy ugrzęzły, nie było jeszcze szosy, a boczne drogi w tej porze były nie do przebycia.

Cesarz zaraz po przybyciu oznajmił, że wieczorem przyjmie władze, jak również osoby, które miały prawo być mu przedstawionemi.

Doznaję jeszcze pewnego wzruszenia na wspomnienie niecierpliwości, z jaką oczekiwaliśmy tych, co mieli być przyjęci na zamku. Mój teść znajdował się na czele urzędowej deputacyi. Powrócił o dziesiątej wieczorem—mniej zachwycony, a bardziej zdziwiony, niż mogę to wypowiedzieć.

Napoleon rozmawiał z tą szybkością i rozwlekłością, która u niego oznaczała jakieś nerwowe podniecenie. Mówił dużo, nie powiedziawszy jednak nic ośmielającego. Przypuszczam nawet, że po namyśle byłby chętnie cofnął rozmaite zdania, które mu się wymknęły.

Rozszerzywszy się nad tem, czego dokonał właśnie w Prusach, wyliczając drobiazgowo pobudki, jakie go skłoniły do tej wojny, rozwiódł się nad wielkiemi trudnościami, które należało przezwyciężyć, aby tak liczna armia mogła posuwać się i zapewnić sobie żywność.

— Ale — rzucił — koniec końców mniejsza o to! A kładąc ręce w kieszenie, dodał: Mam przecie Francuzów!... Panując nad ich wyobraźnią, zrobię z nich, co zechcę!...

Jakieś milczące zadziwienie malowało się na twarzy wszystkich, co go słuchali.

Po chwili dodał:

— Tak... to tak... jak wam mówię!...

A biorąc szczyptę tabaki, w chwili odpoczynku,

zaczął znów mówić bardzo żywo; zrobił gwałtowną wycieczkę przeciwko polskim magnatom, którzy, według jego zdania, nie okazywali dosyć gorliwości i patryotyzmu.

— Potrzeba — zawołał — poświęcenia, ofiar, krwi! Bez tego nic z was nie będzie.

Ale wśród tego potoku słów nie wyrwało mu się ani jedno, coby mogło uchodzić za obietnicę. Dlatego też najtrzeźwiejsi wrócili z tej audyencyi niezbyt zadowoleni, ale zdecydowani robić wszystko, co nakazywał im honor i miłość ojczyzny.

Od tej chwili mówiono tylko o organizacyi wojskowej, o poborze etc. Dawano wszystko, co było można, a tę trochę, którą zachowywano dla siebie, zabierali gwałtem Francuzi.

Jakkolwiek Napoleon mówił o braku gorliwości wielkich panów, mogę zapewnić, że w żadnym kraju nie czyniono z takim pośpiechem tak wielkich poświęceń.

Nie było dnia, któryby nie przyniósł wiadomości o dobrowolnej ofierze, nowym darze patryotycznym. Gdy brakło pieniędzy, posyłaliśmy całą naszą zastawę do mennicy.

W obozach wyżsi oficerowie byli utrzymywani przez właścicieli ziemskich.

Pewien bogaty szlachcic, ugościwszy wspaniale jednego z najbardziej znanych marszałków, nie-

mało był zdziwiony, dowiedziawszy się, że srebra jego zniknęły razem z furgonami bohatera. Żart poczytano za zbyt gwałtowny i doniesiono o nim cesarzowi, który oburzony takiem postępowaniem w kraju przyjaznym, kazał natychmiast zwrócić zastawę i zrzucił to *roztargnienie* na karb służby marszałka, która nie była przyzwyczajona do przyjęć tego rodzaju.

III.

Pierwsze kroki wojenne.

Salon hrabiny. — Książę Borghese. — Chore dziecko.—Poświęcenie pana F... — Projekt Savary'ego.—Pułtusk.—Przyjęcie w zamku.— Zebranie.—Toaleta hrabiny.—Prezentacya u cesarza.

Przyjmowałam wielu Francuzów. Mąż mój należał zawsze do tych zebrań i pomagał mi robić na nich honory domu.

Czasami grywano, najczęściej rozmawiano. Książę Borghese, szwagier cesarza, zaliczał się do szeregu zwykłych gości, ale nikt się nim nie krępował. Nigdy nie zapomnę, jak w krótkich chwilach, kiedy rozmowa stawała się *trochę* poważniejszą, oddalał się, brał krzesła, ustawiał je po dwa na samym środku salonu i nucąc, tańczył uciesznie kontredansa z temi niememi figurantami. Mieliśmy codziennie dzielnego generała Exelmaus, miłego Ludwika Périgord, który umarł w rok później, podczas drogi z Petersburga do Berlina, żałowany przez wszystkich, co go znali; zaj-

mującego Alfreda de Noailles, pięknego Lagrange'a i wielu innych, których wspomnienie zatarło się z czasem, lub z powodu ich nicości.

Gdy się tak działo, syn mój (August) zachorował. Cały dom był w rozprzężeniu, byłam oddzielona od mego dziecka. Zajmowało ono jedno ze skrzydeł pałacu, przylegające do apartamentów, odstąpionych adjutantom księcia Murata; aby zobaczyć mego biednego chorego, musiałabym przejść przez dziedziniec. Było to w połowie Grudnia, a ponieważ ścieżka była ślizka, więc niebezpieczna, przeto surowo mi zakazano przechodzić nią, z powodu stanu, w jakim się znajdowałam. Nie mogąc ciągle być przy mojem dziecku, wyobrażałam je sobie daleko bardziej chorem niż było, a ponieważ nie czułam się w usposobieniu do brania udziału w wesołości innych, poszłam do siebie dnia tego daleko wcześniej, niż miałam zwyczaj.

O świcie posłałam do bony po wiadomości. Jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast słownej odpowiedzi, oddano mi sprawozdanie ze wszystkiego, co zaszło w nocy! Wiedziałam, ile razy pił mały chory, jak długo spał, ile miał stopni gorączki!... Moje macierzyńskie serce, nie znając tego pisma, odgadło je.

Dnia tego byłam bardzo zmieszana, spotkawszy pana de F..., a kiedym dziękowała, rzekł:

— Ach, mój Boże! jakże często z najprostszych

rzeczy robimy sobie zasługę. Byłem tej nocy na służbie, w pokoju syna pani znajduje się wygodna kanapa, na której się położyłem, a nie chcąc zasnąć, zająłem się tem, co się działo około mnie. Dziecku pani nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo — dodał z przekonaniem, które przeniknęło me serce.

Nie mogłam odpowiedzieć... wziął mnie za rękę, uścisnął ją, nie ośmielając się jej ucałować, i szybko się oddalił.

Od tej chwili zawiązał się między nami rodzaj serdecznego zaufania. Możnaby je nazwać starą i świętą przyjaźnią, mającą cały powab nowej miłości tajemnej i bojaźliwej.

Wierna swoim obowiązkom, nie przypuszczałam nawet możliwości uczucia, które należałoby odsunąć, i przeczyłam niebezpieczeństwu.

Zdawało mi się, że wolno mi mieć *przyjaźń* dla człowieka, łączącego wszystkie przymioty, jakie pragnęłoby się widzieć w swoim bracie. Nie zważałam na niepokój, którego doznawałam, spotykając jego spojrzenie słodkie i tęskne, słuchając go śpiewającego te rozkoszne romanse, których nigdy nikt tak jak on nie śpiewał. Zapominałam wreszcie, co było moją największą winą, że młoda kobieta nie powinna mieć innego powiernika i innego przyjaciela, oprócz swego męża, ale dlaczegóż mój nie nasuwał mi tego na pamięć?

Zima 1807 roku była nadzwyczajnie ostra, kraj zubożony przejściem armii rosyjskiej, gonił już resztkami zasobów, kiedy rozkazano mu zaopatrzyć potrzeby stu tysięcy Francuzów, zgromadzonych na jednem miejscu. Wojska cierpiały wiele i zaczęły szemrać, gdyż zbywało im na wszystkiem.

Savary, podówczas adjutant cesarza, zaproponował to, co on nazywał krokiem *stanowczym*—chodziło o to, aby ogłodzić miasto, zamykając rogatki, i zagarnąć żywność, codziennie dowożoną na potrzeby mieszkańców.

Napoleon, zmęczony szemraniami swoich zrzędów, przyjął ten projekt i wydano rozkazy. Byliśmy zatem prawie skazani na śmierć głodową. *Przyjaciel* ostrzegł nas w tajemnicy o tem, co miało zajść. Niedyskrecya mogłaby go zgubić, należało więc zapobiedz złemu, nie narażając pana F... Zebraliśmy radę i mąż mój postanowił, aby pod pozorem nagłej podróży, zgromadzić zapasy. Na szczęście, te ostrożności okazały się zbytecznemi. Ponieważ książę Neufchâtel (Berthier) i Talleyrand odważyli się przedstawić cesarzowi, że mógłby wzniecić rozruch, postanowiono siłą otworzyć sobie przejście przez kordon austryacki, co zarówno nam, jak i wojsku, dostarczyło żywności poddostatkiem.

Kiedy zaczynano już dziwić się pozornemu spokojowi, panującemu w zamku, i kiedy panie oburzały

się na to, że cesarz nie śpieszył się na nie popatrzeć, Napoleon tworzył plany zaborcze i nie zważając na ostrość pory zimowej, wyruszył nagle, by stanąć przeciw Rosyanom, oszańcowanym po drugiej stronie Wisły w miasteczku Pułtusku. Walczono przez kilka dni bez wielkich wyników. Zima stanęła wszystkiemu na przeszkodzie; ustawiczne deszcze tak rozmoczyły drogi, że armaty grzęzły—wielu żołnierzy zginęło w trzęsawiskach. Nie widziano jeszcze nic podobnego, a ten, którego geniusz zdawał się aż do tej chwili panować nad żywiołami, ujrzał się zmuszonym do odstąpienia, zaniepokoiwszy i odparłszy nieprzyjaciela, który jednak bardzo długo mógł jeszcze stawić opór.

Obawiano się, nie bez powodu, wrażenia, jakie wywrze na Napoleona ta pierwsza przeciwność i ze drżeniem udały się władze do Zamku, aby go tam oczekiwać.

Ale, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, okazał się on zupełnie spokojnym.

— Wasze bagna—powiedział—ocaliły Rosyan, trzeba czekać mrozów.

Mówił potem o administracyi kraju, nalegając na konieczność zaprowadzenia wielkiego porządku i przezorność zaopatrywania potrzeb armii, wytykając miejsca, gdzie należało wystawić magazyny — wchodząc we wszystkie szczegóły z zadziwiającem

zrozumieniem i doskonałą znajomością miejsc, rzeczy i ludzi, jakimi należało się posłużyć.

Tym razem, nie tak jak za pierwszym, wszyscy będący w Zamku wrócili przejęci podziwem dla rozległości i głębi geniuszu, zdolnego zarówno do zdobywania, jak i do rządzenia.

Mój teść chciał mi natychmiast zdać sprawę ze wszystkiego, co zaszło na tem przyjęciu. Zaledwie usiadł, usłyszeliśmy zgiełk ludzi i koni. To książę Murat przybywał z wrzawą; wracał on również z tej krótkiej kampanii, otoczony całym swoim sztabem.

Na szczęście, nikogo przy apelu nie brakło, aczkolwiek książę, swoim zwyczajem, wystawiał się na kule, harcując na wszystkich forpocztach.

W kilka dni potem oznajmiono, że będzie w końcu przyjęcie dam. I myśmy poszły tedy z kolei zobaczyć wielkiego człowieka i osądzić go. Należało pomyśleć o pięknej toalecie—miłość własna narodowa wchodziła tu w grę.

Byłam bardzo zadowolona ze swojej. Stan mój, jeszcze mało widoczny, dał się zupełnie ukryć przy pomocy sukni z czarnego aksamitu, haftowanej à la Matylda złotem i perłami. Kreza otwarta à la van Dyck, pęki lekkich pukli i wszystkie moje brylanty uzupełniały doskonale ten strój szlachetny i surowy, który, prawdę mówiąc, stanowił sprzeczność z moją twarzą, wówczas świeżą i uśmiechniętą. Moda nie

uświęciła jeszcze fantazyjnych strojów. Sądzę, że byłam jedną z pierwszych, co je przyjęły, a moje toalety więcej się zapożyczały u artysty, niż z dziennika mód.

Przybyłyśmy do Zamku około dziesiątej wieczorem. Trzeba było przejść koło całej armii złoconej i szamerowanej, tworzącej szereg, aby przyjrzeć się przechodzącym damom. Szłam za moją świekrą, spoglądając na prawo i na lewo, aby osądzić wrażenie, jakie wywierał mój strój na sędziach kompetentnych i surowych. Przyznaję, że byłam zachwyconą, gdy wśród pochlebnego szmeru usłyszałam następujące zdanie całkiem francuskie:

„Ach, jakież to oryginalne!... Jakby piękny portret, wyjęty ze starych ram. W Paryżu nie widzi się nic podobnego!“

Kazano nam wejść do wspaniałej sali, gdzie się znajdowały obrazy historyczne, przewiezione później do Moskwy na rozkaz cesarza Mikołaja I. Sala ta była oświetlona *à giorno*. Było już wiele pań, stojących jedna obok drugiej, a ponieważ nie okazano się trudnym w wyborze, zgromadzenie było bardzo liczne.

Czekałyśmy dość długo i trzeba przyznać, że ciekawość nasza nie była wolna od niejakiej obawy. Nagle milczenie zostało przerwane niespodzianym szmerem, podwoje otwarły się z hałasem i wszedł

Talleyrand, wymawiając podniesionym i dobitnym głosem, to magiczne słowo, na które drżał świat: *Cesarz!* Zaraz potem ukazał się Napoleon i zatrzymał się, jakby się dając oglądać.

Tyle jest portretów tego zadziwiającego człowieka, napisano tyle jego historyj, wszystkie legendy, powtarzane przez dzieci, jego starych żołnierzy, pozostaną długo żywemi tak, że przyszłe pokolenia będą go znały prawie tak dobrze, jak my. Ale trudno będzie pojąć, jak głębokiem i niespodzianem było wrażenie, kiedy go się widziało po raz pierwszy. Co do mnie, doznałam jakiegoś osłupienia, jakiegoś niemego zdziwienia, które nas ogarnia na widok wszelkiej cudowności. Zdawało mi się, że był otoczony aureolą. Jedyną myślą, która mi przyszła, kiedy otrząsnęłam się z pierwszego olśnienia, było to, że jest niemożliwem, aby taka istota miała umrzeć, żeby organizacya tak potężna, geniusz tak wielki, mógł kiedykolwiek obrócić się wniwecz!... W duchu przyznawałam mu *podwójną nieśmiertelność.*

Być może—i nie chcę bynajmniej temu zaprzeczać — że wrażenie, jakie na mnie wywarł, wypływało z młodości i żywości mojej wyobraźni, jakkolwiek opowiadam poprostu to, co odczułam.

Moja teściowa znajdowała się koło drzwi, przez które wszedł cesarz; zwrócił się on najprzód do niej i wyrażał się o jej mężu bardzo pochlebnie. Potem

przyszła kolej na mnie. Nie potrafiłabym powtórzyć tego, co mi powiedział, tak byłam zmieszana. Było to prawdopodobnie jedno z tych zdań powszednich, które się mówi wszystkim młodym kobietom. Odpowiedziałam zapewne dość niezgrabnie, gdyż popatrzył na mnie z jakiemś zdziwieniem, co mię zmieszało jeszcze bardziej i zatarło w pamięci mej wszystko, prócz uprzejmego i łagodnego uśmiechu, z jakim wymawiał parę słów do mnie zwróconych. Uśmiech ten, który zwykle przybierał mówiąc do kobiety, odejmował jego twarzy całą tę surowość, jaką jej nadawać mogło jego spojrzenie.

W ten sposób bardzo szybko obszedł wkoło salon; wiele z pań próbowało mówić z nim o nadziejach, jakie zrodziła jego obecność; ale on odpowiadał monosylabami na te porywy patryotyczne, niezbyt odpowiednie przy prezentacyi, i załatwił się z nami w niecałe pół godziny. Podszedłszy do drzwi, przez które wszedł, rzekł dość głośno do Talleyrand'a:

— Ileż tu pięknych kobiet!

A potem, obróciwszy się raz jeszcze, złożył nam ręką uprzejmy ukłon i wszedł do swych apartamentów.

IV.

Umizgi.

Bal u Talleyrand'a.—Szklanka lemoniady.—Cesarski kontredans.—Pani Walewska. — Greuze. — Klucz od pokoików księcia Murat.

Cesarz oznajmił, że ponieważ nie można walczyć, chce, aby się bawiono. Chwila była odpowiednia, karnawał się rozpoczynał; zaszła jednak przeszkoda. *Oswobodziciele* zajmowali wszystkie mieszkania, wszędzie właściciele jak my, byli wygnani do paru pokoików, gdzie się mieścili jakkolwiek, ale gdzie niepodobna było myśleć o wydawaniu zabaw.

Książę Poniatowski, który sam jeden tylko mógłby zebrać w zamku liczniejsze towarzystwo, krępował się obecnością cesarza.

Po wielu naradach postanowiono, że pierwszy bal odbędzie się u Talleyranda, wielkiego szambelana i ministra spraw zagranicznych.

Cesarz, jak również wszyscy książęta, mieli przybyć. Zapewniano, że nie będzie więcej nad

pięćdziesiąt pań, ale ta surowa etykieta nie mogła przeszkodzić tysiącu małych intryg, zwyczajnych w takich razach. Pewna jestem, że była to jedna z tych uroczystości, na których koniecznie byćby się chciało. Cała próżność i cała ciekawość wchodziły w grę. Co do mnie, miałam żywe pragnienie przyjrzenia się zblizka temu amfitryonowi, uchodzącemu za jednego z najmilszych i najdowcipniejszych ludzi swego czasu; prawdę mówiąc, zadawał on sobie wiele trudu, aby nam się takim wydać. Profani twierdzili, że nikt nie potrafił być zarazem tak zręcznym i tak błyskotliwym, ale jeślibym miała sądzić go z wrażenia, jakie wówczas wywarł na mnie, powiedziałabym, że wydał się przesyconym i znużonym wszystkiem, chciwym majątku, zazdrosnym o łaskę pana, którego nienawidził, bez charakteru, jak i bez zasad, jednem słowem, niezdrowym na duszy, jak i na ciele.

Nie mogłabym wypowiedzieć zdziwienia, jakiego doznawałam, widząc go zbliżającego się z trudem na środek sali, ze złożoną serwetą pod pachą, pozłacaną tacą w ręku, podającego szklankę lemoniady temu właśnie monarsze, którego za oczami nazywał parweniuszem!

Talleyrand miał za młodu, jak mówiono, wielkie powodzenie wśród kobiet, a ja widziałam go potem otoczonego swoim dawnym serajem... Było to

rzeczywiście bardzo śmieszne; wszystkie te panie, przy których spełniał on po kolei rolę kochanka, tyrana lub przyjaciela, napróżno siliły się go rozerwać, wszystkie ich usiłowania rozbijały się o jego znużenie. Ziewał przy jednej, zrzędził na drugą, wszystkie nazywał głupiemi i złośliwie wyciągał wspomnienia i *daty*.

Wracam do balu u Talleyranda. Był to jeden z najciekawszych, na jakich miałam sposobność być obecną. Cesarz tańczył wtedy kontredansa, który posłużył za pozór zbliżenia się z panią Walewską.

— Jakże pani uważa mój taniec? — rzekł do mnie—myślę, że się pani ze mnie śmiała.

— Doprawdy, Najjaśniejszy Panie—odparłam—jak na wielkiego człowieka, tańczysz doskonale.

Chwilę przedtem Napoleon siadł pomiędzy mną, a przyszłą faworytą; pomówiwszy przez parę minut, zapytał się, kto jest jego sąsiadka z drugiej strony. Kiedy wymieniłam jej nazwisko, zwrócił się do niej z miną człowieka jak najlepiej poinformowanego.

Dowiedzieliśmy się potem, że Talleyrand posunął swoje grzeczności aż do urządzenia tego pierwszego spotkania i usunięcia przedwstępnych przeszkód. Ponieważ Napoleon wyraził życzenie zaliczenia do liczby swoich podbojów Polki, wybrano taką, jakiej mu było potrzeba, piękną z twarzy, a marną umysłowo. Twierdzono, jakoby po kontredansie ce-

sarz uścisnął ją za rękę, co, jak powiadano, równało się schadzce.

Rzeczywiście miała ona miejsce nazajutrz wieczorem. Mówiono, że jakiś wielki dygnitarz był posłany po tę piękność; mówiono o nagłym i niezasłużonym awansie brata, nicponia, o garniturze brylantowym, którego, jak zapewniano, nie przyjęto. Mówiono wiele rzeczy, o jakich, być może, nie wiedziano i jakie zmyślano dowoli. Przypuszczano nawet, że Roustam, mameluk, służył za pokojówkę!... bo czegóż nie mówi się w takich razach? To było pewnem, że my wszystkie byłyśmy zrozpaczone, iż osoba, przyjmowana w towarzystwie, okazała tyle łatwości i równie słabo się broniła, jak forteca Ulmska.

Ale czas, który wszystkiemu nadaje barwę, położył na tym związku, tak lekko zawartym, cechę stałości i bezinteresowności, co zatarło po części nieprawidłowość powstania, a w końcu postawiło panią Walewską w liczbie najbardziej zajmujących osób tej epoki.

Cudownie piękna, była jakby uosobieniem postaci Greuze'a [1]); jej oczy, usta, zęby były zachwycające. Śmiech jej był tak świeży, spojrzenie tak łagodne,

---

[1]) Jan Chrzciciel Greuze ur. 1725, zm. 1805 r. Znakomity malarz rodzajowy francuski, odznaczający się mianowicie w przedstawieniu zalotnych lub sentymentalnie nastrojonych postaci kobiecych.

wszystko razem w jej twarzy tak ponętne, że nigdy nie myślano o tem, coby mogło brakować klasyczności jej rysów.

Zaślubiona w siedmnastym roku życia ośmdziesięcioletniemu starcowi, którego nigdy nie widywano, zajmowała w świecie stanowisko młodej wdówki. Jej wielka młodość, połączona z tak wygodnem położeniem, dawały powód wielu gadaninom, a jeżeli Napoleon był ostatnim z jej kochanków, utrzymywano, że nie był pierwszym.

Od chwili, gdy cesarz zrobił wybór, książęta z jego rodziny chcieli go naśladować. Było to trudnem, gdyż sława nie była w wspólce z ich zuchwałem przedsięwzięciem.

Pewnego ranka oznajmiono mi pana Janvier, zaufanego sekretarza księcia Murata. Wszedł z kluczem w ręku, bardzo pomieszany swojem wystąpieniem. Nie wiedząc, od czego zacząć, stał milczący i obracał klucz, nie śmiejąc spojrzeć, podczas gdy ja znów wysilałam umysł, aby odgadnąć, czego on chce odemnie.

Ażeby ta anegdota była zrozumiała, należy w krótkich słowach powiedzieć o rozkładzie pałacu. Pomiędzy piętrem, zajmowanem przez moją świekrę, a dołem, gdzie się znajdował wielki apartament, ustąpiony księciu Muratowi, były malutkie mezzaniny (antresole). Moja teściowa posługiwała się niemi jedynie

podczas wielkich mrozów ponieważ te pokoiki tworzyły przejście dobrze ogrzane z jednego apartamentu do drugiego za pomocą *schodów krytych*.

Ten wytworny zakątek, umeblowany i ozdobiony w stylu Ludwika XV, był uważany jako pokoje należące do wielkiego apartamentu; klucze od niego oddano służbie księcia Murata w chwili, gdy zamieszkał w naszym pałacu, i nikt odtąd o nich nie myślał. Pan Janvier otrzymał rozkaz przyniesienia mi tego właśnie klucza.

Jako człowiek rozumny, czuł on całą niestosowność swojej misyi i był nią podwójnie zmieszany, gdy spostrzegł, że nie rozumiem i że uparłam się nie przyjąć tego klucza, jako rzeczy zupełnie mi nieużytecznej, gdyż zajmując to samo piętro, co moja teściowa, schodki były mi niepotrzebne.

Widząc, jak daleka jestem od poleconej mu sprawy, odważył się powiedzieć mi, że jego wysokość, nie ośmielając się proponować mi licznych zebrań, myślał, iż miło mi zapewne będzie wypić z nim czasem herbatę w tych wytwornych buduarach. Zaczynałam rozumieć i gniew we mnie zawrzał!... Widocznie spostrzegł go w moich oczach, bo myślałam, że o mało co nie spadnie z krzesła. Podniósł się i drżąc, podszedł do konsoli, położył na niej nieszczęśliwy klucz i głęboko mi się skłonił, chcąc wyjść.

Powstrzymywałam się z trudem... oburzenie na-

tchnęło mnie. Uśmiechając się jak najpogardliwiej, poprosiłam pana Janvier, aby powiedział księciu, że moja świekra będzie zapewne bardzo wdzięczna za jego grzeczność, że w jej wieku nie lubi się zebrań zbyt licznych i że, być może, zechce skorzystać z uprzejmego zaproszenia jego wysokości, że w każdym razie, ponieważ zostawił klucz, oddam go mojej teściowej. I kłaniając się z całą wyniosłością biednemu sekretarzowi, który stał osłupiały koło drzwi, upuściłam salon.

V.

Partya whista u cesarza.

Inne bale.—Parada.—Orkiestra cesarska.—Holendersey posłowie.—Stawka.—Następca tronu bawarskiego. — Otoczenie Napoleona.—*Hrabia Comminges.*—Książęta, tak zwani, *krwi.*—Akcent gaskoński Murat'a.—Jego frazesy efektowne.

Po balu u Talleyranda nastąpiły dwa inne: jeden u księcia Borghese, drugi u księcia Murata. Byłam cierpiąca i nie poszłam na pierwszy; według zdania mojej teściowej, powinnam była być obecną na drugim, aby utrzymać się w roli, jaką przyjęłam względem pana Janvier, i w niczem nie zmienić stosunków chłodnej grzeczności, panującej między naszym gościem a nami.

Ponieważ wskutek niepogody drogi były jeszcze ciągle nie do przebycia, cesarz nie opuszczał miasta i wychodził zwykle tylko po to, aby się udać na paradę na Saskim placu. Chociaż te manewra odbywały się prawie codziennie, tłum zbierał

się gromadnie za każdym razem, kiedy Napoleon się ukazywał; przeprowadzano go aż do Zamku z okrzykami i wiwatami, które dowodziły mu, jak bardzo jego sława, a nasze nadzieje uczyniły go drogim narodowi. Nie wydawał się niemi bynajmniej znudzonym, jakkolwiek zapał często wytwarzał tłok.

Oprócz balów, były na dworze zebrania raz na tydzień. Wieczór rozpoczynał się bardzo pięknym koncertem, a kończył partyą whista. Na Zamku nigdy nie tańczono.

Cesarz miał między swoją świtą kompletną orkiestrę, dyrygowaną przez sławnego kompozytora, Paër'a. Była to zawsze muzyka włoska. Zdawało się, że Napoleon lubił ją namiętnie. Słuchał uważnie i oklaskiwał jak znawca, a harmonia zdawała się mieć wielki wpływ na jego usposobienie. Mieliśmy dowód tego pewnego dnia przyjęć.

Właśnie oznajmiono mu, że generał Victor, oddawca depeszy bardzo ważnej, dał się schwytać Prusakom. Na tę wiadomość nie panował nad sobą! Twierdzono, że jeśli to nie była zdrada, to przynajmniej niedbalstwo nie do przebaczenia. Otóż tego samego dnia mieli otrzymać zaraz przed zebraniem audyencyę posłowie holenderscy, którzy przybyli złożyć cesarzowi powinszowania z powodu zwycięztwa pod Jeną. Była blizko dziesiąta, oczekiwaliśmy od-

dawna i zaczynaliśmy się już domyślać, że zaszło coś niezwykłego, gdy wtem drzwi otworzyły się z hałasem i ujrzeliśmy grubych Holendrów w szkarłatnych szatach, raczej wracających się, niż wchodzących. Cesarz popychał ich, krzycząc głośno:

— Idźcież naprzód! Idźcież naprzód!

We drzwiach zrobił się zapewne tłok w chwili, gdy Napoleon w nich się ukazał, gdyż szedł on bardzo szybko, jak to miał we zwyczaju. Biedni posłowie stracili głowę i pchali się jedni na drugich.

W każdej innej chwili ta zabawna scena pobudziłaby do śmiechu; ale głos władcy i wyraz jego twarzy nie dodawały otuchy i, prawdę mówiąc, wolelibyśmy nie widzieć tej sceny. Muzyka jednak uspokoiła cesarza odrazu; pod koniec koncertu odzyskał swój uprzejmy uśmiech i okrążył salon, zwracając się z miłemi słowami do pań, które wyróżniał, zanim zasiadł do stolika whistowego.

Zebranie, jak to już mówiłam, kończyła gra. Cesarz zawsze rano wymieniał damy, mające grać z nim wieczorem, wybór ten padał zwykle na jedną z najstarszych i dwie najmłodsze. Nauczono mnie grać jakkolwiek i za pierwszym razem, gdy spotkał mnie ten zaszczyt, wymknęła mi się odpowiedź dość nierozważna, która widocznie podobała się Cesarzowi, gdyż od tego dnia miejsce moje było stałe.

W chwili, gdy dawano karty, Napoleon, zwracając się w moją stronę, zapytał:

— O cóż gramy?

— Ach, Wasza Cesarska Mość, o jakieś miasto, jakąś prowincyę, jakieś królestwo!

Zaczął się śmiać.

— No, a gdybym ja wygrał? — zapytał z dowcipnem spojrzeniem.

— Wasza Cesarska Mość posiada dosyć, może zapłacić za mnie.

To zdarzenie ustaliło względy dla mnie, które nigdy mnie nie opuściły, zarówno w Polsce, jak i w Paryżu. Napoleon przyjmował mnie zawsze z wyróżnieniem i traktował nadzwyczaj uprzejmie.

Zauważono, że pani Walewska nie grywała nigdy i to zachowanie konwenansów podziwiano ogólnie.

Było to rzeczywiście ciekawe widzieć tych wszystkich książąt niemieckich, idących pod różnemi pozorami za głównym oddziałem, jak wyczekiwali, stojąc podczas cesarskiej partyi. Był między nimi następca tronu królestwa Bawarskiego, całujący z uszanowaniem rękę Napoleona za każdym razem, gdy mógł się do niej *dostać*, ale miał on i śmiałość kochać się w pani Walewskiej! Napoleon nie troszczył się wcale o to współzawodnictwo. Mówiono

nawet, że się tem bawił. Książę, straszliwie upośledzony przez naturę, był nadto głuchy i jąkała.

Szczególną jest rzeczą i trudno temu uwierzyć, ale wszyscy, którzy tworzyli orszak cesarza, co mieli najwięcej godności i pochlebiali mu najmniej służalczo, nie byli ludźmi ani o wielkich nazwiskach arystokratycznych, przywiązanych do jego losów, ani książętami zagranicznymi, co szli za nim, żebrząc o korony, ale były to całkiem nowe znakomitości: marszałkowie i dygnitarze jego kreacyi. Jeden tylko Savary zdawał się błagać o spojrzenie, wszyscy inni byli wogóle z uszanowaniem, ale bez uniżoności.

Z wyjątkiem obcych ministrów i kilku wysokich dygnitarzy, umieszczonych za stołami gry, nikt nie siadł w obecności cesarza, nawet jego szwagrowie. Zdaje się, że to nie gniewało księcia Murata, który korzystał z tej sposobności, aby przybierać postawy, jakie uważał za najwłaściwsze do uwydatnienia piękności swojej figury; ale mały Borghese wściekał się o to, a jednak nie miał odwagi usiąść.

Po grze następowała kolacya. Napoleon nigdy nie siadał do stołu, ale krążył, aby rozmawiać z damami, zabawiając się zadawaniem mnóstwa pytań, ktore czasami wprowadzały w kłopot ze względu na nadzwyczajną dokładność, jakiej wymagał w odpowiedziach. Chciał wiedzieć, czem się zajmowano,

co czytano, o czem najczęściej myślano, co najbardziej lubiono.

Pewnego dnia, albo raczej pewnego wieczoru, gdy oparty o poręcz mego krzesła, zabawiał się wypytywaniem w ten sposób o moją lekturę, mówił mi o powieściach i rzekł, iż ze wszystkich, jakie mu wpadły pod rękę, najżywiej go zajęła powieść *Hrabia de Comminges* [1]). Czytał ją dwa razy i był nią zawsze wzruszony do łez.

Nie znałam tej książki i łatwo się domyśleć, że gdy przyszłam do domu, pierwszem mojem zajęciem było przerzucenie biblioteki mego teścia. Na nieszczęście, powieści tej nie było. Dopiero znacznie później po tej rozmowie dostałam ją i płakałam również.

Moja świekra, będąc jedyną warszawianką, która zachowała sobie salon, ujrzała się zmuszoną do wydawania wieczorów tańcujących. Mnóstwo cudzoziemców, przybyłych w orszaku ciała dyplomatycznego, pragnęło tylko się bawić. Tak zwani *książęta krwi* nie opuszczali ani jednego z tych zebrań, nie narażając jednak swej godności, gdyż tańczyli tylko *na balach dworskich!...*

---

[1]) Chodziło zapewne o romans Klaudyny Aleksandry Guérin, margrabiny de Tencin, ur. 1681, zm. 1749 r. Tytuł właściwy „Mémoires du comte Comminges".

Ponieważ stan mój nie pozwalał mi oddać się temu rodzajowi rozrywki, byłam skazana na zabawianie najmniej zabawnych; jest to prawie zawsze los osób, wezwanych do robienia honorów domu.

Książę Murat bynajmniej nie zniechęcony niepowodzeniem swego śmiesznego usiłowania, pochwycił tę sposobność, aby ze mną mówić i zasypywać mnie ckliwościami. Zupełnie nie starałam się ukrywać znudzenia, jakiego doznawałam; wreszcie, chociaż trochę za późno, spostrzegł się; przybrawszy wówczas melodramatyczną minę, wyrzekł do mnie to zdanie tak śmieszne—podniesione jeszcze przez jego gaskoński akcent, a które tak bardzo rozśmieszyło moich przyjaciół:

— *Pani Aleksandro! nie jest pani ambitną, nie kocha pani książąt!*

W Paryżu opowiadano mi równoważnik tej anegdoty. W dniu, w którym Murata ogłoszono królem neapolitańskim, jakaś piękność, wzruszona jego wielkością, naznaczyła mu schadzkę. Ponieważ kłopoty jego królestwa nie zabierały mu jeszcze wiele czasu, przyszedł na nią zawcześnie, a niecierpliwiąc się oczekiwaniem, podniósł rękę do czoła, wołając:

— Czyż widziano kiedy nieszczęśliwszego monarchę?

Kiedy myślę, jak bardzo ci wszyscy książęta rodziny Napoleona wydawali nam się małymi i śmie-

sznymi obok olbrzyma, zakrywającego ich swym cieniem, powtarzam sobie tę prawdę, stwierdzoną wiekami, że tylko wielkie charaktery lub wielkie czyny mogą uprawnić przed ludźmi nagłe wyniesienie.

VI.

Eylau.

Różowa relikwia. — Maret, książę Bassano. — Książę Dalberg. — Urodzenie Natalii Potockiej. — Pani Walewska w głównej kwaterze w Osterode.—Szale Józefiny. — Sąd wydany przez Napoleona o *Corynnie*.—Bitwa pod Eylau.—Powrót francuzów.—Wielki czyn wojskowy księcia Borghèse.

Nie mówiono już o wojnie. Wielu myślało nawet, że cesarz oczekiwał wiosny, aby nanowo rozpocząć kroki wojenne, gdy on, gwałtowny w swoich postanowieniach, jak i w swoich czynach, wyjechał nagle 5 lutego,, a wojsko otrzymało rozkaz wyruszenia.

Pożegnanie jest niebezpieczną rafą... Bardzo trudno jest wówczas nie zdradzić uczucia, które się ciągle powstrzymuje. Na szczęście, nie byłam sama!

Napisano do mnie pod pozorem oddania mi jakiegoś pugilaresu, którego nie chciano narazić na koleje wojny. Zawierał on listy matki, głęboko kochanej, która pisała z niezwykłym wdziękiem. Przy koń-

cu błagano mię, abym nie odmówiła, jako dowodu *świętej przyjaźni*, relikwii (mającej, jak mówiono, własność odwracania kul), różowej wstążki, którą miałam w wigilię dnia. Myśl ta nakazała milczenie moim skrupułom, pozwoliłam wziąć wstążkę! Ludzie, idący na wojnę, mają prawo tyle wymagać!... Zmuszono mnie przyrzec, że będę czasami pisywała. Proszono o pozwolenie zawiadamiania mnie o postępach wojska, mającego walczyć z zapałem za sprawę, która była naszą.

Prośbę tę przedstawiłam memu mężowi—ponieważ nie miał nic przeciwko niej — przyrzekłam, i p. F. odjechał.

Ciało dyplomatyczne, na czele którego stał Talleyrand, otrzymało rozkaz pozostania w Warszawie.

Nie mówiłam jeszcze o Marret, księciu Bassano, ministrze i sekretarzu stanu; należał on do liczby tych, co rzadko opuszczali cesarza. Tym razem jednak musiał oczekiwać wypadków.

Znalazłszy się na wysokiem stanowisku, być może, był jedynym w tej epoce nagłych wyniesień, który nic nie zachował ze stanu, z jakiego wyszedł, nie nadużywając niczego z tego, do czego doszedł. Jego maniery, ubiór, rozmowa, wszystko, z wyjątkiem olbrzymich łydek, znamionowało człowieka z dobrego towarzystwa. Jeśli jego umysł nie posiadał rozległości i subtelności Talleyranda, to doskonały

takt, połączony z niepospolitym sądem, przychodzi mu w pomoc i czynił go zdolnym sprostać najzręczniejszym... Nadto, jako człowiek nieposzlakowany i szlachetny, zdobył sobie prawo noszenia głowy wysoko.

Z powodu interesów zostawał on w stosunkach z moim teściem, to też widywaliśmy go często. Po długiej pracy przychodził do salonu, aby z nami przez chwilę porozmawiać; te krótkie przerwy nazywał swojemi rekreacyami. Jego grzeczność wypływała z serca; nie omijał żadnej sposobności pozyskania ludzi. Obwiniano go, że zaufanie swoje dawał takim, którzy byli tego mało godni — to możebne; prawdziwa dobroć ma tę słabość, że łatwo daje się nadużywać.

Nie mogę pominąć, mówiąc o naszych codziennych gościach, najdowcipniejszego z nich, księcia Dalberg (1773—1833). Był on ostatnim potomkiem tej dawnej rodziny, która zdawała się czekać z wygaśnięciem, aż będzie niepotrzebną przy koronacyjnem namaszczaniu cesarzów, których władza miała się ku upadkowi. Możnaby powiedzieć, że te dwa świetne wspomnienia przeszłych wieków miały zniknąć razem [1]).

---

[1]) Historya mówi nam, że w chwili namaszczania cesarzów niemieckich, herold zbrojny miał obowiązek zawołać do-

Powróciwszy do Francyi, ożenił się z panną Brignolle, z której miał tylko jedną córkę, zmarłą w młodym wieku. Podczas swego pobytu w Polsce powziął głęboką namiętność dla osoby, która nie mogła go ocenić, czy zrozumieć, gdyż natura odmówiła księciu darów, zdolnych ująć istotę ograniczoną. W tej okoliczności okazał się egzaltowanym, jak niemiec, i delikatnym, jak francuz. Cierpliwie słuchałam jego zwierzeń, gdyż kładł w nie cały wdzięk swego umysłu. Była to szczególna osobistość, pół-illuminat, pół-filozof ośmnastego wieku, miał on stosunki ze wszystkimi najoświeceńszymi i najradykalniejszymi ludźmi w Europie. Nadmiernie nieostrożny, mówił wszystko, co mu przeszło przez głowę, nie oszczędzając nikogo, nawet Napoleona, którego nazywał *tyranem* i *przywłaszczycielem*. Jego rzeczywistem zajęciem było czuwanie nad sprawami Niemiec, co dosyć zaniedbywał, odkąd miłość zawładnęła całą jego duszą.

Przypuszczony do zaufania Talleyranda ubolewał często razem z nim nad bieżącemi wypadkami! A jednak szczerze życzył sobie odbudowania Polski, gorąco pragnąc wyzwolenia Niemiec — dwóch rzeczy równie trudnych do pogodzenia, jak wszystkie inne jego uczucia.

---

nośnym głosem: *Ist ein Dalberg da?* Jeśli odpowiedź była przecząca, namaszczenie nie było ważne. (Przypisek autorki).

Dowodem jednak, że Napoleon nie był tak złym, jak twierdził książę, jest to, że o Dalberga nigdy się nie niepokoił; nie można było jednak przypuszczać, aby jego sposób myślenia był nieznany cesarzowi.

* * *

18 marca (1807), o trzeciej rano, wydałam na świat śliczną dziewczynkę; spełniła ona wszystkie nasze pragnienia. Dziecko to, mające sześć lat w chwili, gdy to piszę, było pięknem od samego urodzenia. Jej drobne rysy posiadały całkiem poprawność biustu starożytnego; niewątpliwie Helena, przychodząc na świat nie była piękniejszą. Rozwija się ona dalej z tą doskonałą klasycznością rysów, którą przypisuję memu zamiłowaniu do sztuk pięknych. Byłam wciąż otoczona najpiękniejszemi modelami, z rozkoszą oglądałam wspaniałe obrazy, znajdujące się u mego teścia; nic zatem dziwnego, że dziecko moje było odbiciem moich nieustannych rozmyślań. Matka moja trzymała ją do chrztu. Nazwałam ją Natalią; imię to podobało mi się i odpowiadało jej greckiej twarzyczce.

Nie wiem, jak mogłam pominąć wzmiankę o chrzcie mego syna, obchodzonym z całą okazałością, przeznaczoną dla chłopców, a nadewszystko dla najstarszych. Książę Józef Poniatowski i marszałek Potocki, brat mojego teścia, byli jego chrzestnymi ojcami; piękna hrabina Zamoyska i hrabina Tyszkiewi-

czowa, siostra księcia Poniatowskiego, jego matkami. Książę Józef Poniatowski memu synowi zrobił dar wspaniały, który przechowujemy starannie i który, mam nadzieję, nigdy nie wyjdzie z rodziny. Jest to szabla Zygmunta I-go, która służyła przy koronacyi naszych królów.

Świetność nie jest związana z losem kobiety, przeznaczenie jej już od kolebki jest inne. Natalię ochrzczono w moim pokoju, bez okazałości i ceremonii. Jeśli kiedyś uczuje się tem dotkniętą, niech pomyśli o radości, jaką napełniło mnie jej urodzenie i o zachwycie, jaki już wtedy wzbudzała jej piękność.

* * *

Cesarz, urządziwszy główną swoją kwaterę w Osterode, zawezwał księcia Bassano, a wkrótce potem Talleyranda. Zostało nam ciało dyplomatyczne, licząc w to jednego ambasadora tureckiego i jednego ambasadora perskiego; chodzono oglądać, jak te wschodnie osobistości jadły, paliły, modliły się; był to rodzaj przedstawienia, przed drzwiami ich stały szeregi.

Wiadomości z głównej kwatery były, jak się łatwo domyśleć można, bardzo częste. Nieprzyjaciel oddalił się, aby zebrać większe siły. Cesarz, pewien zwycięztwa, nie niepokoił się tem i zdawał się oczekiwać zaczepki. Ponieważ pora była jeszcze bardzo

ostra, a Napoleon nie wiedział, czem zabić czas, posłał po panią Walewską.

Brat piękności, stawszy się nagle z porucznika pułkownikiem, podjął się potajemnie sprowadzić ją do głównej kwatery. Niepodobna utrzymać sekretu, gdy próżnujący świadkowie starają się wszystko wiedzieć, aby o wszystkiem opowiadać. Wiedziano więc prawie natychmiast, że powóz ze starannie spuszczonemi firankami przyjechał, a reszty się domyślano. Jedna rzecz, jaka została utajoną, było miejsce, dokąd zawieziono podróżną.

Oto szczegóły, opowiedziane mi w jakiś czas potem przez niedyskretną przyjaciółkę pani Walewskiej.

Cesarz kazał dla niej przygotować gabinet tuż obok swego pokoju. Z wyjątkiem krótkich chwil, podczas których Napoleon i pani Walewska rozmawiali z sobą, spędzała ona czas w smutku i samotności. Nikogo zupełnie nie widywała, jedynie tylko książę Neufchâtelski widział ją raz jeden w chwili, gdy wymykała się z gabinetu Napoleona, z którym jadła śniadanie.

Widząc na tacy dwie filiżanki, Berthier pozwolił sobie uśmiechnąć się.

— Cóż to? — rzekł Napoleon, z miną człowieka, który chce powiedzieć: *Nie wtrącaj się nie do swoich rzeczy.*

I minister wojny natychmiast rozpoczął ważną kwestyę, dla której przyszedł, obiecując sobie na przyszłość korzystać ostrożnie z przysługującego mu prawa wchodzenia do cesarza bez oznajmiania.

Jeśli zdarzyło się, że pani Walewska nie była gotową do śniadania, wołała, aby Napoleon nie wchodził, a on podawał jej czekoladę, nie ośmielając się spojrzeć do pokoju, i otwierał drzwi tylko tyle, ile trzeba było, aby wsunąć tacę.

Kiedy pani Walewska znajdowała się w Osterode, ambasador perski przysyłał prezenty, które należało przyjąć w imieniu pana. Wśród innych wspaniałości, było mnóstwo szali, przeznaczonych dla cesarzowej Józefiny. Jej niewierny małżonek chciał oddzielić z nich jedną część, wielokrotnie nastawał nawet, aby jego kochanka wybrała najpiękniejsze. Ale napróżno, ona stanowczo odmawiała, a gdy on uczuł się dotknięty uporem, jaki widział w jej odmowach, wzięła wreszcie szal niebieski, najprostszy i najmniej drogocenny ze wszystkich—mówiąc, iż ma przyjaciółkę, która lubi niebieski kolor i że z powrotem ten szał jej ofiaruje.

Ta bezinteresowność podobała się Napoleonowi.

— Wasi mężczyźni są dzielni i poświęcający się — rzekł z miłym uśmiechem—a kobiety piękne

i bezinteresowne. To stworzy piękny naród. Przyrzekam pani wcześniej, czy później, przywrócić Polskę.

A gdy ona rzuciła się na kolana, gorąco mu dziękując, rzekł:

— Ach! ach! ten podarunek przyjęłabyś bez ceremonii!... Ale poczekaj, trzeba mieć cierpliwość, nie robi się polityki tak, jak się wygrywa bitwy, nie jest to tak łatwo i wymaga czasu.

Kiedy się rozpoczęły wstępne kroki wojenne, Napoleon oddalił panią Walewską. Wróciła tak, jak przyjechała. Brat odwiózł ją na wieś i otoczył jej podróż taką samą tajemnicą. Zdaje się, że cesarz był przekonany, iż nikt nie wiedział o tem, co się stało.

Osoba, która mi opowiadała te wszystkie ciekawe szczegóły, posiadała listy, pisane później przez cesarza do pani Walewskiej, wówczas, gdy miał już pewność, że zostanie ojcem. Nazywał ją to *drogą Maryą*, to *Panią* i zalecał jej *bardzo się szanować*, raczej rozkazującym, niż czułym tonem. Widać było, że więcej troszczył się o dziecko, niż o matkę. Nie tak to pisywał niegdyś do Józefiny.

Pojawił się romans *Corynna*; ponieważ narobił on wiele hałasu, przysłano go z Paryża do głównej kwatery. Przybył on w nocy z mnóstwem depesz, które natychmiast oddano cesarzowi.

Przejrzawszy najważniejsze z tych listów, Napoleon rzucił okiem na romans i kazał obudzić Talleyranda, aby mu go przeczytał.

— Kochasz tę kobietę — powiedział do niego — zobaczymy, czy ma ona zdrowy rozsądek.

Posłuchawszy pół godziny, zniecierpliwił się.

— Ależ tam niema uczucia, to kupa frazesów, przewrócona głowa. Czyż nie widzisz, że ona sądzi, iż kocha tego anglika, Marego, dlatego, że jest zimny i obojętny?... Połóż się spać... to czas stracony. Zawsze, gdy autor uosabia się w swojej pracy, dzieło nic nie warte... Dobranoc.

Nazajutrz dał *Corynnę* księciu Bassano, który mi ją przysłał, sądząc, że my nie mamy jeszcze w Warszawie tej książki.

Starannie przechowywałam ten egzemplarz, który stał się historycznym.

Wkrótce po mojej chorobie posłaniec przywiózł wiadomość o bitwie pod Eylau; śpiewano *Te Deum*, chociaż stracono trzydziesci tysięcy ludzi. W Petersburgu również panowała radość i składano dzięki Opatrzności, która pozwoliła, że plac boju wydzierano sobie długo i krwawo. Uchodziło to za zwycięztwo...

Potem miałam list [1]), który mię upewnił o losie

---

[1]) Od pana Flahault.

tych, co mię obchodzili. Zawierał on więcej pytań o moje zdrowie, aniżeli szczegółów bitwy. Mówiono mi tylko, że walka była śmiertelna, że nieprzyjaciel stawił silny opór i że trzeba było mieć wyjątkowe szczęście, aby uniknąć wielu kul i granatów, jakie padały przez długie godziny trwania bitwy. To wyjątkowe szczęście przypisywano pewnej wstędze różowego koloru, której przyznawano własność chronienia przed wszelkiem niebezpieczeństwem. Radzono mi nawet, abym ubierała moją córkę w tę barwę, przyznając jej pierwszeństwo nad innemi, gdyż przekonano się, że przynosiła ona szczęście; ale Natalia poślubiła kolor błękitny.

Podczas krótkiego pokoju, jaki nastąpił po bitwie pod Eylau, przybyło do nas z głównej kwatery wielu oficerów. Panowie ci pod różnemi pozorami przybywali trochę się odświeżyć i obejrzeć przedmioty swych uczuć, gdyż prawie wszyscy zrobili wybór, i muszę na nieszczęście przyznać, że niewielu z nich trafiło na okrutne. A jednak te, co się takiemi okazały, wzbudziły uczucie daleko trwalsze i bardziej rycerskie... Było nawet kilka małżeństw, ale mało; ówcześni Francuzi nie mieli czasu zakładać domowego ogniska.

Wśród znajomych, którzy do nas wrócili, znajdował się książę Borghèse, rozpromieniony swojem wojskowem powodzeniem. Ponieważ był on dopiero

pułkownikiem, a cesarz chciał go posunąć z pewnym pozorem sprawiedliwości, pchnięto jego pułk w małą utarczkę, w której było więcej sławy do zyskania, niż rzeczywistych niebezpieczeństw. Pułkownik był bardzo dumny, że po raz pierwszy dobył szabli i zupełnie poważnie mówił do spotkanego u mnie pana de la Vaugivon:

— Niechże pan powie hrabinie, jakem dobył swej *szabli!*...

Ten wielki czyn wojenny wciągnięto do biuletynu, ogłoszono z pompą, a wkrótce po bitwie, jego cesarska wysokość otrzymał w nagrodę swych zasług gubernatorstwo Turyńskie, gdzie odpoczywał przez całe życie po trudach wojny, nie mając innych trosk nad liczne i *słuszne* niepokoje, jakie mu sprawiała księżna, jego żona.

VII.

Tylża.

Rozdanie sztandarów trzem legionom polskim.—Książę Poniatowski. — Zwycięstwo pod Frydlandem. — Hrabia Stanisław Potocki podczas spotkania w Tylży. — Łzy królowej pruskiej.—Zręczność Aleksandra.—Uczta.—Utworzenie Księztwa Warszawskiego.

Wzięto się z takim zapałem i z taką gorliwością do uorganizowania armii, że już była gotowa wkrótce po wyjściu Napoleona do Warszawy.

3 Maja 1807 roku trzy legiony, utworzone jakby za dotknięciem różdżki wielkiego czarodzieja i zapału powszechnego, otrzymały swoje orły i sztandary.

Widziałam od tej pory wiele okazałych występów; byłam obecną przy najwspanialszych uroczystościach; brałam udział w radości z tryumfów i patrzyłam z upojeniem na niejednę apoteozę; ale nic nie pozostawiło we mnie tak głębokiego wrażenia, jak to, które uniosłam z tego wielkiego obrzędu, odbytego na placu Saskim. Wokoło ołtarza, w po-

ważnym stylu wzniesionego na środku placu, cisnęło się to wojsko młode i dumne, słuchające ze skupieniem mszy, odprawianej przez arcybiskupa.

Nic niema piękniejszego i bardziej godnego poważania nad uniesienie patryotyzmu, połączonego z wiarą i ze sławą.

W chwili błogosławienia przyniesiono sztandary przed wysokich dygnitarzy, którzy mieli, według dawnego obyczaju, wbić w nie gwóźdź.

Książę Poniatowski w charakterze naczelnego dowódcy przewodniczył temu obrzędowi. Nigdy twarz szlachetniejsza nie wyrażała z większą wspaniałością blasku urodzenia, odwagi i wielkomyślności. To też słowa nie mogą oddać wrażenia, jakie wywarł, kiedy oddając tej pięknej armii jej nowe chorągwie, przemówił do niej, odwołując się do uczuć honoru, jakich był przedstawicielem.

Książę pragnął, aby panie nie były obce aktowi, który im przygotowywał tyle okropnych niepokojów i gorzkich żalów. Cała młodzież pobiegła do wojska i nie było matki, nie było żony lub siostry, któraby nie drżała o kogolwiek ze swoich. I my zatem miałyśmy zaszczyt wbić gwóźdź w te sztandary, przez nas haftowane.

Ponieważ wojna wciąż trwała, oczekiwano, żeby armia polska otrzymała rozkaz niezwłocznego wyruszenia.

Wiele serc biło w tem oczekiwaniu, jedne nadzieją, inne obawą; kiedy dzieci nie mogły powstrzymać radości, matki rozpaczały.

17 Czerwca, kuryer wysłany, jak zwykle, z pola bitwy, przyniósł wiadomość o zwycięztwie pod Frydlandem, które zdecydowało o pokoju. Cesarz udał się do Tylży, aby ułożyć i ustanowić warunki, na jakich zezwoliłby na podpisanie pokoju.

Nie będę wiele mówiła o tem sławnem spotkaniu. Ale wiem od mego teścia, hrabiego Stanisława Potockiego, kilka ciekawych i mało znanych szczegółów. Wezwano hrabiego do Tylży, aby tam zredagował pod okiem Napoleona poprawki stosowne lub *konieczne* w konstytucyi 3 Maja [1]), którą chciał nam nadać z formami mniej więcej cesarskiemi.

Wielu ludzi myślało, że rozgłos, jaki cesarz starał się nadać temu aktowi, stanowił niby straszydło, mające przerazić wyobraźnię cesarza Aleksandra, któremu Napoleon ukazywał zawsze Polskę, jako widmo groźne, co wcześniej czy później, rzuci swoj całun i upomni się o swe prawa.

Spotkanie w Tylży było z pewnością jedną z najświetniejszych chwil w panowaniu cesarstwa. Król pruski z królową przybyli z błaganiami. Za-

---

[1]) Konstytucya ta, wzorowana na konstytucyi angielskiej, była ostatnim przejawem życia politycznego Polski.

(Przypisek autorki.)

wdzięczali Aleksandrowi zachowanie ich królestwa, które było blizkie zniknięcia z listy narodów, czego myśmy sobie życzyli z całej duszy.

Piękna królowa chciała jakoby upaść na kolana; Napoleon pośpieszył podać jej rękę i zaprowadził ją do apartamentów.

Dwaj monarchowie towarzyszyli mu w milczeniu... Królowa, odwoławszy się cicho do wspaniałomyślności zwycięzcy, uciekła się do łez. Napoleon wydawał się wzruszonym tym dowodem pokory i boleści, nie mógł jednak powstrzymać się od oświadczenia dostojnej panującej, że zapamiętał skutki jej *bezsilnej* nienawiści i ubierając tę wymówkę w najgrzeczniejszą formę, powiedział jej, że widząc ją, nie dziwił się już licznym nieprzyjaciołom, jakich na niego podburzyła, i zaciekłości, z jaką Niemcy powstały przeciwko niemu. Aleksander, czując konieczność zmienienia biegu rozmowy, która zaczęła stawać się niebezpieczną, odparł z tą zręcznością, która była jedną z najważniejszych cech jego charakteru, że wszystkie jej usiłowania zostały bez skutku z powodu geniuszu tego, przeciwko któremu były skierowane, przyznając skromnie, że ten tylko może chcieć mu się opierać, kto go nie zna.

Tak się skończyło to pierwsze spotkanie, po którem nastąpiła królewska uczta. Na tę uroczystość królowa zdjęła żałobę, a przywdziała dyadem i pur-

purę, które nosiła z rzadką godnością. Cesarz poprowadził królowę do stołu i umieścił ją po prawej ręce. Łącząc z dużym dowcipem przyzwyczajenie mieszania się do najważniejszych spraw, postanowiła ona pozyskać sobie tego, w ręku którego spoczywały losy państwa Pruskiego.

Przy pożegnaniu, Napoleon, oczarowany ujmującem zachowaniem Aleksandra — którego nazywał najpiękniejszym i najzręczniejszym z Greków, i żałośną pięknością królowej, zrobił jej dar ze Szlązka, przekreślając *jednem posunięciem* pióra punkt traktatu, na mocy którego prowincyę tę odłączono już od Prus; tej hojności zwycięzcy Talleyrand wcale nie pochwalał.

Co do króla pruskiego, jego nicość kazała mu milczeć. Podjął wojnę, aby zadowolnić ambitne pragnienia królowej, zawarł pokój szczęśliwy, że wróci do swych ciasnych przyzwyczajeń, nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, coby mógł stracić lub zyskać.

Z tych wszystkich układów wypłynęło dla nas tylko utworzenie skromnego Księztwa Warszawskiego. Było to mniej, niż wróżyły nam nasze nadzieje i nasze wysiłki. Ale myślano o przyszłości, aby wytrwać w teraźniejszości.

VIII.

Marszałek Davout.

Marszałek Davout, gubernator Warszawy.—Marszałkowa.—Anatol Montesquiou. — Jenerał Picard. — Książę Murat i jego liberya.— Odjazd p. F...—Jego list.—Zakończenie wspomnień dzieciństwa.— Śmierć pani Krakowskiej (1808).

Cesarz wrócił do Francyi, ażeby się nacieszyć upojeniem, jakie zrodziła wojna pruska, tak krótka, a tak świetna. Jeszcze się nie znużono zwycięztwami. Zostawił nam marszałka Davout, który objął rządy miasta i miał wpływ polityczny, na jaki mu pozwalały jego dosyć szczupłe środki. Był to, bądź co bądź, jeden z najlepszych ludzi w armii. Można przypuszczać, że Napoleon, znając nawskroś wszystkich swoich marszałków, wyznaczył tego, gdyż był pewien zarówno jego poświęcenia, jak i moralności. Nie chciał na rabunek wydać kraju, którym w przyszłości mógł się posłużyć, jako potężną tamą przeciw swym nieprzyjaciołom.

Za dobrze zrozumiał on w tym krótkim prze-

ciągu czasu olbrzymie liczne korzyści, jakieby mógł wyciągnąć z narodu, zawsze gotowego do najenergiczniejszych wysiłków (i do największych poświęceń od chwili gdy mu ukazywano, że mógłby odzyskać swą niezależność), aby sobie nie zachował tej potężnej dźwigni w razie potrzeby.

Marszałek otrzymał zatem rozkaz oszczędzania, bawienia nas i pochlebiania nam. Sprowadził on swoją żonę, aby utrzymywać dom na wielkiej stopie, i otrzymał jako uposażenie, Księztwo Łowickie.

Marszałkowa [1]), surowa piękność, była kobietą niepospolitą. Wychowana u pani Campan [2]), nabrała tam dystyngowanych manier, jak również tonu dobrego towarzystwa, na czem zbywało jej mężowi, ale nie dała się ona lubić, gdyż była niezbyt przyjemna. Mówiono o niej, że dręczyła się nieustanną zazdrością o przelotne miłostki marszałka, który, jak i wszyscy Francuzi, szalał za Polkami i wydawał się skrępowanym obecnością swej żony, gdyż miał on nadto jakąś Francuzkę, o której twierdzono, że była kropla w kroplę podobna do marszałkowej i dzięki

---

[1]) Amancya Leclerc, siostra generała Leclerc'a, pierwszego męża Pauliny Bonaparte.

[2]) Pani Campan, ur. 1752, zm. 1822 r. Była słynną wychowawczynią. Napoleon mianował ją przełożoną instytutu dla córek i krewnych członków legii honorowej w Ecouen. Z licznych jej pism najważniejsze są: „Pamiętniki o życiu prywatnem Maryi Antoniny", oraz „Rady dla panien" (Conseils aux jeunes filles).

tym prawnym pozorom, jeździła za armią, ku wielkiemu niezadowoleniu cesarza.

Wszystkie te okoliczności, razem wzięte, sprawiły, że księżna niewiele się troszczyła, aby dom swój uczynić przyjemnym, i że jej małżonek szukał rozrywek gdzieindziej.

Sztab marszałka nie obfitował w osobistości godne uwagi. Pan Anatol Montesquiou, wtedy jeszcze bardzo młody, był jedynym z adjutantów, którego widywaliśmy z przyjemnością; jego wykształcenie odpowiadało jego nazwisku.

Pomiędzy generałami, znajdującymi się w tym korpusie, jeden tylko naprawdę był znakomity i dziwi mię, że nie mówiono o nim więcej, gdy jego wyższość nie ulegała wątpliwości. Generał Ricard, niegdyś przyjaciel i towarzysz Napoleona, ściągnął na siebie jego niełaskę, zachowawszy wierność dla Moreau, pod którym służył i dla którego miał gorący zachwyt. Nie starał się bynajmniej ukrywać swych uczuć w chwili, gdy Moreau opuścili wszyscy. Ta szlachetna i odważna wierność nie przeszkadzała mu zupełnie oddawać głośno sprawiedliwości geniuszowi i wielkim talentom Napoleona, którego, być może, czcił mniej jako cesarza, niż jako głównodowodzącego, kiedy Bonaparte, podbiwszy Włochy, zadziwiał świat swoją wielką zręcznością.

Generał Ricard zaćmiewał swych towarzyszów,

chociaż wogóle byli to ludzie przyjemni. Ówcześni Francuzi namiętnie lubili się bawić i wszystko robili z zapałem. Grywano komedye, tańczono, urządzano szlichtady.

Trzeba było korzystać z tej chwili wypoczynku; pokój za Napoleona zawsze był tylko krótkiem zawieszeniem broni, którego używano, aby odpocząć i odświeżyć się, a potem za pierwszem wezwaniem tem ochotniej rzucić się do broni. Nie wszystkim dostał się los jednakowy, wielu smutnie spędziło zimę w obozach na Szlązku. Pan F... znalazł się w ich liczbie. Gdy książę Murat wymyślił, aby swych adjutantów ubrać w kolory swej liberyi, tworząc rodzaj uniformu *fantazyjnego*, pan F... ściągnął na siebie jego niełaskę, przyłączywszy się do tych, co nie chcieli przywdziać tej liberyi; wolał być odesłanym do swego pułku, w chwili, gdy książę powracał do Paryża, z czołem ozdobionem laurami, gotów już otrzymać koronę.

Oporny oficer napisał do mnie i opowiedział mi swoje nieszczęście. Oznajmiał, że wcale nie pragnął wrócić do Paryża i że odwoła się do marszałka Davout, aby otrzymać pozwolenie przepędzenia jakiegoś czasu w Warszawie; w razie gdyby marszałek odmówił, pan F... był zdecydowany tajemnie przyjechać, jeśli tylko, jak mówił, jedyna władza, której się poddawał bezwzględnie, nie zechce mu tego zakazać

i jeśli się upewni, że tym, których pragnął widzieć, nie będzie się to niepodobało.

List ten przeraził mnie. Robiłam szczere usiłowania, aby wygnać z mej pamięci uczucie tak niebezpieczne; spostrzegłam, że budziło się ono w groźny sposób. Na szczęście, przybyła moja przyjaciółka [1]). Pokazałam jej list, udając, że nie biorę do siebie zawartych w nim domyślników. Przypisywałam podróż pana F. bardzo naturalnemu pragnieniu rozerwania i zabawienia się. Bardzo żywo wzięłam w obronę tego, którego nikt nie napadał.

Moja przyjaciółka pozwoliła mi mówić i nie sprzeciwiała mi się; ale gdy spostrzegła, żem się uspokoiła, spojrzała na mnie przeciągle i odwołując się do mojej szczerości, zapytała mię tylko, czy rzeczywiście nie miałam najmniejszej wątpliwości co do celu tej podróży. Dodała, że gdybym dała swoje przyzwolenie, z góry już podpisałabym swą porażkę.

Odpowiedziałam żartami na podstępny list i uczyniłam to tak dobrze, że oddaliłam wszelką myśl zbliżenia.

W kilka miesięcy potem zawezwano pana F. do Paryża wskutek starań pewnej osoby bardzo wysoko położonej, która kochała go oddawna, czego on się nie domyślał.

---

[1]) Sobolewska.

Sztafeta, przysłana przez moją matkę, znajdującą się w Białymstoku, wkrótce zmieniła bieg moich myśli. Oznajmiono mi, że pani Krakowska, będąc bardzo chorą, wyraziła życzenie ujrzenia nas, aby nas pobłogosławić raz jeszcze. Natychmiast wyjechaliśmy. Znajduję w moich papierach wyjątek z dziennika, który pisałam w 1808, w czasie, kiedy jeszcze nie myślałam opowiadać swych wspomnień. Wiernie go opisuję.

Białystok, 9 lutego 1808.—Otóż jestem w tym zamku, gdzie spędziłam tyle lat szczęśliwych i spokojnych. Na każdym skraju odnajduję jakieś wspomnienie i czuję żal. Uczucie to jest jednocześnie miłe i przykre... wszystko minęło!... wszystko więc minie!

Widzę tę ukochaną ciotkę; drżę o jej życie. Po raz pierwszy stanęła przedemną śmierć. Ten pokój tak smutny i ciemny, te ustawiczne łkania i ten niemy przestrach, uczyniły na mnie wrażenie, którego nic nie zatrze.

Biedna Amelia [1]) płacze gorąco i słusznie, ona ją tak kochała! Reszta rodziny zachowuje się tylko *przyzwoicie.*

10-go rano. Nie mogłam zamknąć oczu... a może być, że jutro będę żałowała tej nocy, która mi się wydawała tak długa! Przynajmniej jeszcze teraz żyje!

---

[1]) De Bassompierre.

Dzisiaj rano przygotowano ją do moich odwiedzin. Zdawało się, że wiadomość o naszem przybyciu ożywiła ją. Około południa przyszedł po nas lekarz. Mój Boże! jakże ja mogłam zbliżyć się do niej z odwagą, uśmiechać się, mówiąc do niej, i nie rozpłynąć się we łzach, kiedy dała mi rękę do ucałowania?

— *Nie mam siły wypowiedzieć ci, jak cię kocham!* — powiedziała do mnie głosem bardziej wzruszonym, niż gasnącym. Później mówiła mi o moich biednych dzieciach, o których nie pomyślałam od dwóch dni. Ponieważ mąż mój nie zbliżył się, nie widziała go z powodu ciemności, panującej w tej obszernej komnacie, obitej pąsowym adamaszkiem ze złotemi szlakami. Powiedziała mi, abym go przywołała, i chociaż wydawała się zmęczoną, zastanowiwszy się przez chwilę, uścisnęła mu rękę i głosem dość silnym rzekła:

— Powierzam ci wszystko co mi drogiego zostało w świecie: twoją żonę i jej matkę. Szczęściem ich zajmuj się zawsze.

Dała znak, aby się oddalono, ale zaraz mnie przywołała i patrząc na mnie z niewymowną dobrocią tym wzrokiem świętej, który był jej właściwym podczas choroby, rzekła:

— Wywieź ztąd swoją matkę, usuń ją, zaklinam cię; co za widok dla niej!

A gdy starałam się dodać jej otuchy, oznajmiając, że nie wyjedziemy, aż ona zupełnie wyzdrowieje, potrząsnęła głową, błogi uśmiech wykwitł na jej wargach i wyciągnąwszy do mnie rękę, dodała:

— Nie masz nawet wyobrażenia jąką pociechę mi sprawiasz, zwracasz mi spokój, a ponieważ zdecydowałaś się na to, zostań jeszcze kilka dni, to nie potrwa długo. Teraz umrę spokojnie, tak się dręczyłam o twoją biedną matkę.

Widząc, że jest zupełnie spokojna, spróbowałam mówić jej o rozmaitych rzeczach, o których myślałam, że mogą ją zająć. Słuchała mnie z uwagą.

Jestem cały dzień w jej pokoju, lub w przyległym gabinecie. Nie płaczę i nawet zaczynam się przyzwyczajać do tego smutnego widoku; ze staraniami, jakiemi otaczamy ukochaną osobę, łączy się jakaś słodycz, wobec której milkną wszystkie inne uczucia. Będę jej towarzyszyła aż tam, gdzie się kończy życie. Ta dusza, tak czysta, da mojej pewność, której tak potrzebuję.

Właśnie odbyła spowiedź i przyjęła Sakramenta Św. Nie mogłam znieść przygotowań do tej ceremonii. Ale ona z jakimże spokojem do niej się przygotowywała! — Możnaby powiedzieć, że to jakaś biesiada, której oczekuje z niecierpliwością. Wcale nie żałuje życia, a jednak wydaje się czasem, że ma fizyczny

strach wobec śmierci i odpycha myśl znicestwienia. Jednak to bardzo trudno jest umrzeć!...

12-go wieczorem. Czyż to podobna, ażeby do wszystkiego przyzwyczaić się można? Nie czuję się już ani tak smutną, ani tak oszołomioną; może to dlatego, że nadzieja zaświtała w mojem sercu. Niepodobna pogodzić się z myślą utracenia drogich nam —i zaledwie niebezpieczeństwo się oddaliło, zdaje się nam, że już nie istnieje. Miała jedną noc znośną i przyjęła trochę pożywienia. Lekarz jednak niema miny pocieszającej, uważa, że ma się bardzo źle. Ale zapewniają, że lekarze często się mylą. Zaczyna ją zajmować wszystko, o czem mówią. Mój Boże, jakże jestem szczęśliwa, widząc ją uśmiechającą się! Ta chwila jest, być może, jedną z tych, o których zachowam najmilsze wspomnienie. Czuję się kochaną i potrzebną. To zachęca do życia. Mówię: *zachęca* nie dlatego, abym była zmęczona istnieniem, ale rozumiem, że przywiązuje się do niego wagę wtedy tylko, gdy się jest *konieczną* dla szczęścia innych.

13-go w południe. Ma się bardzo źle! Noc przepędziła straszną; słabnie widocznie i mówi tylko wtedy, gdy koniecznie potrzebuje; ale jest zupełnie przytomna, wszystkich poznaje.

Poczta nie przyszła i nie mam żadnych wiadomości o moich dzieciach—w każdej innej chwili byłabym niespokojną i zrozpaczoną, gdyż moja teścio-

wa przyrzekła nam pisywać przez wszystkich kuryerów. Dzisiaj nie pozwalam sobie myśleć o niczem, co mię wiąże z życiem w tym pokoju, gdzie wszystko mówi o śmierci, rozłączeniu, wieczności.

Kiedy jestem w jej pokoju i słyszę jak dzwoni ten zegar Boule'a, drżę mimowolnie na myśl, że wydzwoni on wkrótce okropną godzinę!

O północy. — Niema już nadziei. Od dwóch, czy trzech godzin miała straszliwe męczarnie!

Nie mogła sobie znaleźć miejsca, aby złożyć głowę. Od czasu do czasu pytała słabym głosem, czy noc jest jasna i czy dużo jest gwiazd!... Kiedy zbliżyłam się, aby pocałować jej rękę, znalazłam ją zupełnie zlodowaciałą. Podniosłam ją łagodnie, aby położyć sobie na czole. Myślę, że mnie zrozumiała i pobłogosławiła; później powiedziała mi pocichu, abym odeszła i nic do niej nie mówiła. Myślę, że się modliła.

Okropnie jest patrzeć, jak cierpiała... Czyż to taka śmierć sprawiedliwego? —Teraz zasnęła, a lekarz zapewnia, że dożyje do jutra rana. Mój Boże! co za straszna noc!

14-go. — Wszystko skończone! skonała około drugiej godziny. Skon jej był łagodny, jak jej życie, a twarz jej zachowała ten wyraz dobroci, który ją czynił tak drogą. Na kilka minut przed śmiercią

jeszcze mówiła. Ogień dogasał, nie kazała dokładać drzewa, pragnąc zupełnego milczenia i spokoju.

Spostrzegłszy, że jedna z jej kobiet płacze, podała jej swoję chustkę, dając jej znak, aby nic nie mówiła. — Pytała bardzo często, czy noc jest piękna—biedna, święta, myślała o swojej *podróży*. Wydawała się śpieszyć z opuszczeniem ziemi, co chwila pytała o godzinę. Około drugiej spokojnie zasnęła i już się nie zbudziła!...

Ponieważ lekarz zapewnił moją matkę, że chora nie była jeszcze blizką śmierci, odeszłyśmy, aby trochę odpocząć, o czwartej godzinie zbudził mnie głos dzwonów, zadrżałam, ale nie śmiałam badać. Pobiegłam do mojej matki... Łzy nasze doniosły nam o tem, o co bałyśmy się pytać.

17-go. — Jutro wyjeżdżamy. Nigdy więc już nie zobaczę tego pokoju, w którym piszę i który zamieszkiwałam w najpiękniejszych latach mego życia. Ja także przeżyłam już, być może, połowę swego. I dla mnie przyjdzie ta chwila, której się tak obawiamy! Ale ona mi pomoże, ona będzie czuwać nademną! Oby życie moje zasłużyło na taką opiekę!

20-go w Warszawie. — Oto jestem z powrotem. Czasami zdaje mi się, że prześniłam sen okrutny. Zwarzył on mi serce, rozczarował mnie do życia. Unikam śmierci—tylko moje dzieci są dla mnie miłe.

Przypisek. — W lat kilka potem spadkobiercy

pani Krakowskiej, do których należał Białystok, sprzedali tę wspaniałą posiadłość cesarzowi Aleksandrowi I, który kazał starannie utrzymywać zamek i zaciągnąć do szeregu cesarskich rezydencyj.

Cesarz Mikołaj I zmienił zamek na pensyonat i kazał przenieść do Petersburga cudowne drzewa pomarańczowe. Znaczna część najstarszych między niemi zmarniała w ciągu długiej podróży.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w GLIWICACH
Nr

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
Kp 19063